



Rok VI.
Łódź, 26. V. 63.
Nr 21 (273)
Cena zł 1.—

odgłosy

JULIAN BRYSZ

Zdezorientowani



Fot. L. OLEJNICZAK

„Chciałbym studiować na wydziale łączności. Kiedy byłem mały, rodzice kupili telewizor. Teraz, po sześciu latach pracy dość często się psuje, więc doraźnymi naprawami zajmowałem się ja. Ponieważ jednak umiejętności nie szły w parze z wykształceniem, więcej psułem, niż naprawiałem. Po drugiej — prąd elektryczny zawsze był moją najmocniejszą stroną w szkole. Poza tym — jest to praca trochę niebezpieczna, zawsze może coś „złapać” i „postrząść”, bardzo lubię takie sytuacje”.

Zacytowane powyżej zwierzenia pochodzą z wypowiedzi jednego z tegorocznych maturzystów w ankiecie na temat: „Jaki wybieram kierunek studiów i co mnie do tego skłoniło?”

Na naiwnej tej, ale szczerzej wypowiedzi wyrazne swoje piętno odcisnęła współczesność. Dawniej, dziesięciolecie wcześniej, chciałoby się powiedzieć, że taki młodzieniec zostałby strażnikiem, dorożkarzem lub panem doktorem,

dziś marzy mu się rozwiklanie tajemnic, gadającego pudła i pozostaje wierny tym zainteresowaniom!

Blisko 2 tysiące maturzystów łódzkich zamierza w tym roku kandydować na studia wyższe. Czy wszyscy mają sprecyzowane zainteresowania, czy dokonują świadomego wyboru? Oto pytania, na które będziemy szukali odpowiedzi w naszym artykule.

SKĄD I DOKĄD?

Zasadnicza grupa kandydatów, to maturzyści z liceów ogólnokształcących. Za mierza podjąć studia 75 procent spośród nich (1.450 osób). Absolwenci techników w większości zamierzają poprzestać na zdobyciu matury, tylko 40 procent (430 osób) będzie kandydować na wyższe uczelnie. Wreszcie w liceach dla pra-

cujących tylko 11 procent maturzystów decyduje się na dalszą naukę.

Powyższa uwaga wstępna mogłaby stanowić punkt wyjścia do rozważań na temat małej aktualności popularności studiów wyższych, ale temat to zgola odmienny.

Z innych względów wspomniamy tu o „rodowodzie” kandydatów. Warto bowiem zwrócić uwagę na różnice między kandydatem z technikum, a kandydatem z liceum. Ten pierwszy został już przez szkołę zdeteminowany do podjęcia określonego kierunku studiów, trzy czwarte absolwentów techników kieruje się na Politechnikę, pozostali — głównie na studia ekonomiczne.

Licealiści — a oni stanowią zasadniczą grupę kandydatów — nie posiadli takiego nastawienia. Stąd niesłychanie trudno przewidzieć ich zainteresowania, „dopasować” je do ilości

miejsz na poszczególnych kierunkach studiów i do potrzeb gospodarczych kraju.

Tegoroczni maturzyści, byli już w klasie dziesiątej indagowani w sprawie wyboru dalszego kierunku nauki. Niestety, wyniki wstępnego sondażu sprawdzają się obecnie tylko w 50 procentach.

Tak więc układ kandydatów każdego roku był i pozostaje dotychczas swego rodzaju loterią, stanowi wypadkową wektorów mody, tradycji i w pewnym tylko stopniu — nasilenia akcji propagandowo-informacyjnej.

Ponad 850 maturzystów łódzkich kandyduje w tym roku na uniwersytety, około 700 — na politechniki, jedynie 200 — na studia medyczne. Zanim przeanalizujemy szczegółowo ten układ, wspomniemy tylko, że uniwersytety w porównaniu z poprzednimi latami utrzymały swoją popularność, zaś politechniki zyskały wyraźne koszty akademii medycznych.

HUMANIŚCI I „PIĘKNODUCHY”

Prawo i humanistyka znowu zyskały sobie dwa razy więcej kandydatów, niż biologia i uniwersyteckie kierunki techniczne. Na filologię polską wybiera się sześć razy więcej maturzystów, niż na kierunek handlowo-towaroznawczy, choć ilość miejsc w obu wypadkach jest w przybliżeniu taka sama.

Humanistyka, choć nie daje dobrych perspektyw materialnych, od wielu lat cieszy się nie słabnącym powodzeniem, co stanowi zagadkę dla obserwatorów. Być może, wpływa na to fakt, że większość wśród kandydatów stanowią kobiety, że studia humanistyczne są

Dalszy ciąg
na str. 4

BOGDAN GLEBKO

STARE MURY

Twierdzą, że w Hawanie siedem. Wszystkie obronne, niewielkie o zwartej konstrukcji i grubych murach. Najstarsza z nich to Castillo de Chorrera, leżąca u ujścia rzeki Almarredes. Tam było najłatwiejsze dojście do brzo- gu i dzięki temu najczęściej atakowano Hawanę właśnie w tym miejscu. Atakowali francuscy filibustierzy z pobliskiej Haiti (Santo Domingo). Podobno chodzilo o wodę a nie o Hawanę. Teraz Rio Almarredes toczy swe błotniste i cuchnące wody prosto w Zatokę Meksykańską, zanieczyszczając powietrze do- kola ujścia, ale kiedyś ta woda była krystaliczna i bardzo smaczna. Zapach pochodzi od garbarni nieoczekiwanie usytu- owanej w środku miasta. Fran- cuzi pragnęli zagarnąć kawał wybrzeża, aby zorganizować sobie bazę uzupełniającą dla statków i okrętów wojennych. Hiszpanie jednak nie docenili dobrych intencji swych sąsia- dów i wybudowali twierdzę, która wkrótce przestała odgry- wać większą rolę. Zapomnieli po prostu pokój i Francuzi mo- gli sobie brać tyle wody ile tylko chcieli nie narażając się na zbrojne awantury. Obecnie pozostały stare mury pełne wdzięku i atrakcji turystycz- nych.

Twierdza hiszpańska są niskie i przysadziste i dlatego ich nie widać, gdy spaceruje się po mieście. Jedną z nich jest tylko widoczna. Widać ją dobrze z morza i z miasta, stoi bowiem na małej skalistej wysepce (a właściwie cyplu) u wejścia do hawańskiego portu. Nazywa się Castillo del Morro. Jest potężna chociaż nie najstarsza, pochodzi bowiem z połowy szesnastego wieku. Jej potężne armaty wy- mierzone w kierunku morza i cieśniny miały bronić przed at- kiem Francuzów. Biedni Fran- cuzi nie doczekali się starcia z potężną fortecą. Doczekali się natomiast Anglików, kiedy pró- bowali zawładnąć Hawaną. Uczynili to jednak, lecz jedy- nymi punktami oporu, których nie udało się im nigdy zdobyć, było właśnie Castillo del Morro i małe miasteczko Guanabacoa po drugiej stronie cieśniny ha- wańskiej.

Twierdza robi przytłaczające i ponure wrażenie. Architektura hiszpańska, zważywszy na powagę i wielkość, jest znacznie starsza niż ta, którą widzimy. Ciężkie, ponure i niskie krużganki, baszty i mostki, przejścia i zakamarki — wszy- stko to technika groza odosobnie- nia. Castillo del Morro ciesz- ło się kiedyś bardzo złą sławą — było to najgorsze polityczne więzienie hiszpańskie na Kubie. Pamiętają starzy ludzie, że wo- kół północnej baszty zawsze było pełno rekinów. Stracano ze skał skazaneć prosty do morza. Tam też wrzucono ciała zmartwych więźniów. Po upadku imperium hiszpańskiego i użys- kaniu przez Kubę niepodległo- ści, Castillo del Morro przesta- ło straszyć po nocach oficjalną i mniej oficjalną opozycję rza- dową, dano natomiast przytułek latarnikowi Portu Hawany i ma- lemu garnizonowi marynarki wojennej.

Stoję przed matym zwodzonym mostkiem prowadzącym do twierdzy. Muszę klęść się z wartownikiem, który nie chce mnie wpuścić do środka. Pomaga dopiero interwencja kome- danta, młodzieńczego kapitana

Dalszy ciąg
na str. 2

EWA SULIBORSKA

Festiwal teatralny bywa dobrą okazją do porównań i konfrontacji. Bywa też dobrą okazją do rozmyślań o pięknej sztuce będącej pod opieką muzy Melpomeny. O jej stanie i o jej potrzebach. O jej niedostatkach i o jej osiągnięciach. Festiwalowe przedstawienia dają roze- znanie w tym co dzieje się w teatrze poza Warszawą, Krakowem i Łodzią, a cze- go jak potwierdziły tegorocz- ne Kaliskie Spotkania nie należy lekceważyć.

Powiedzmy więc, że jed- naście teatrów zaprezen- towało ponad dwadzieścia spe- ktakli. Powiedzmy też, że poza jedynym biorącym u- dział w Festiwalu teatrem warszawskim i teatrami łódzkimi oraz może jeszcze dwoma poznańskimi, ogląda- liśmy teatry prowincjonal- ne, do których my, ludzie

z wielkich metropolii odno- simy się z pewną dozą po- błażliwości. Powiedzmy wre- szcie, że ów teatr prowincjonalny w tym kształcie w jakim zaprezentował się na scenie Teatru im. Bogusław- skiego zmusza do rewizji po- glądów, każe patrzeć na o- siągnięcia teatrów w wiel- kich metropoliach z innej perspektywy. Każe też ina- czej je oceniać. Oglądane bo- wiem na tle przedstawień prowincjonalnych tracą swo- je blaski spektakle, z któ- rymi trzy łódzkie teatry dra- matyczne wystąpiły na kali- skiej scenie. Tegoroczne Ka- liskie Spotkania zmuszają do wyciągnięcia wniosków, do pobrania nauk. Zmusza-

ją do zadania pytania, dla- czego nasze szanse w Kali- szu były w gruncie rzeczy niewielkie, dlaczego wystę- py łódzian rozczarowały za- równo publiczność, jak i re- cenzentów. Dlaczego porów- nanie poziomu artystyczne- go przedstawień, konfronta- cja poszukiwań i zamierzeń artystycznych wypadła na niekorzyść naszych teatrów.

Pierwszy i zasadniczy chy- ba wniosek jaki narzucił się po obejrzeniu występów Teatru Nowego, Jaracza i Powszechnego, to brak ja- kichkolwiek ambicji reper- tuarowych. Jakież bowiem sztuki przywieziono do Ka- liska? „Kariere Artura UI”, „Tego, który dotrzymuje sło-

wa”, „Przygodę z Vaterlan- dem”, a więc sztuki, które wędrują teraz przez wszyst- kie sceny kraju. Pokazano je równocześnie ze sztuką Witkiewicza „W małym dworku”, „Karolem”, i „Na pełnym morzu”, Mrożka, „Zejsiem aktora”, „Pierście- niem wielkiej damy” Norwi- da, „Samuelem Zborow- skim” Słowackiego i z „Wy- zwoleniem” Wyspiańskiego. A więc równocześnie z u- tworami repertuaru tzw. wielkiej klasyki, klasyki w dodatku rzadko grywanej i z utworami współczesnymi. Jakież więc szanse miały spektakle łódzkie? Sztukę Gomesa przywiózł do Kali-

sza teatr z Gniezna (i fakt ostatecznego wyróżnienia te- go przedstawienia nie tu nie ma do rzeczy), bo war- szawskim bardzo dobrym przedstawieniu Brechta wia- domo było, że przedstawie- nie łódzkie, nie ma więk- szych szans na wyróżnienie, tym więcej, że jest ono dość wierną kopią spektaklu ber- lińskiego. Podobnie, jak szans nie miała sztuka Kruczkowskiego, ani „Or- feusz w wężowej skórze” T. Williamsa, przedstawienie po prostu nie udane, o któ- rego szansach nikt prawdop- odobnie nie myślał serio.

Więc może źle został uło- żony program, może należa- ło w Kaliszu zaprezentować

inne spektakle? Może „Wier- na rzekę”, może „Klub Pickwicka”, może „Ladacz- nicę z zasadami”? Jedyną serio złożoną propozycją by- ła tu „Dzika kaczką” Ibs- ena, bowiem ani „Komiks 1863 roku”, jak dowcipnie i niestety trafnie zatytuło- wano recenzję z „Wiernej rzeki”, w „Teatrze”, ani „Klub Pickwicka” reprezen- tować Łódź w Kaliszu nie mógł. I gdyby tak przejrzeć

Dalszy ciąg
na str. 5

Ostrzeżenia po Festiwalu

między schematem ambielii, a schematem możliwości. Pe-
dażdzika współczesna, o ile
wiem, nie rozwiązała zagad-
nienia racjonalnych propor-
cji między momentem altru-
istycznym i egoistycznym w
wychowaniu młodego czło-

ZNAMY to, ZNAMY

W „Mosfilmie” reż. Borys Bernat realizuje komedię „Przy-
stanek” z popularnym Merku-
riem w roli uczonego, a za-
razem i malarza-amatora. Scen-
ariusz do tego filmu napisał
wspólnie z Bernatem znany
dramaturg radziecki Pogodin.

Autorka scenariusza ko-
medii „Tata, mama, córka i
złoty” Walentyna Smirnowa na-
pisała scenariusz nowej komedii
filmowej „Moskwićanie”.

Jeden z najwybitniejszych
twórców kinematografii węgier-
skiej Zoltan Fabry, autor („Ka-
ruzi miłości”) przystąpił do
realizacji filmu o tematyce wo-
jennej „Gdy umilkły ptaki”.
Bohaterem filmu jest 60-letni
płacz, który przechodzi od bierno-
ści do aktywnej współpracy
z ruchem antyfaszystowskim.
Twórca „Żelaznego kwiatu”
Janos Hersko ukończył
zdzjęcia do filmu „Dialog”, któ-
rego treścią są przeżycia dwóch
komunistów na przestrzeni ostat-
nich piętnastu lat.

Powodzenie głośnej kome-
dii włoskiej reż. Pietro Germie-
go „Rozwód po włosku”, skło-
niło producentów do realizacji
dalszych filmów opartych na
tym samym schemacie, ale w
różnych wariantach. Enzo Di
Gianni zrealizował „Rozwód po
sycylijsku”, natomiast Silvio
Amadio kręci obecnie film
„Morderstwo po włosku”, w
którym grają Juliette Mayniel,
John Gavin i Cyd Charisse.

Jeden z najpopularniej-
szych aktorów włoskich Mar-
cello Mastroianni, po ukończe-
niu dwóch filmów „Labirynt”
Fellini’ego i „Towarzyszy” Mo-
nicelli’ego, przystąpił w najbliż-
szym czasie do udziału w zdję-
ciach w filmie reż. Mauro Bo-
lognini’ego o Casanovie, w któ-
rym grać będzie główną rolę.
Również Claudia Cardinale pra-
cuje w tym roku „bez przesto-
wów”. Po dwóch filmach „La-
birynt” i „Lampart” wystąpi w
nowym filmie Masellego „Obo-
jętni” wg powieści Alberto Mo-
ravii.

Pierwszym filmem realizo-
wanym we Francji włoskiego
reżysera Lucino Viscontiego z
udziałem Brigitte Bardot będzie
adaptacja „W stronę Swanna”
— i tomu cyklu powieściowego
Prousta — „W poszukiwaniu
straconego czasu”.

Nowa „Dama Kameliowa”
zagrała ostatnio Sara Montiel w
filmie francusko-hispańsko-wło-
skim, którego tytuł brzmi nieco
ostrożnie „Pewna Dama Kame-
liowa”. Czyżby brak odwagi ze
względów na kreowanie popular-
nej roli przez Gretę Garbo?

Dwie sławy francuskiego
ekranu Jean Gabin i Viviane
Romace wystąpią razem w fi-
lmie „Melodie podziemia” po re-
żyserii Gebri Verneulla. Po raz
pierwszy i ostatni spotkali się
w filmie Duviviera „Wielka wy-
grana” w roku 1936.

Twórca „Noża w wodzie”
reż. Roman Polański realizuje
dla francuskiego producenta jed-
ną z czterech nowel filmu „Naj-
piękniejsze oszustwa świata”,
która poza nim reżyserują Jean
Luc-Godard, Claude Chabrol
i Ugo Gregoretti. W filmie gra-
ją J. P. Cassel, Sophie Desma-
rets i Jean Seberg. Operatorem
w noweli Polańskiego będzie
Jerzy Lipman.

W Izraelu największy pro-
cent wyświetlanych filmów sta-
nowią filmy amerykańskie. W
dalszej kolejności idą filmy wło-
skie, francuskie, angielskie.
Wśród innych produkcji Polska
zajmuje jedno z pierwszych
miejsc. Dodac należy że Izrael
liczy dwa miliony mieszkańców
i posiada 288 kin. Produkcja
własna w ciągu roku wynosi
przeciętnie 2 filmy, a import
kształtuje się w ilości 470 fi-
lmów. Również na ekranach kin
meksykańskich dominują filmy
amerykańskie. Ceny biletów są
stosunkowo niskie i wynoszą
przeciętnie 0,35 dolara. W Meksy-
ku jest duża ilość pism fi-
lmowych, z których najpopular-
niejsze jest pismo codziennie
„Cine mundial”. Na 36 mi-
lionów mieszkańców istnieje
1475 kin, a roczna meksykań-
ska produkcja filmowa wynosi
48 filmów. Cechą charaktery-
styczną produkcji filmowej w
Japonii są jej niskie koszty.
Przeciętny koszt jednego filmu
fabularnego wynosi 75 tysięcy
dolarów. Przyczyną tego jest
niski koszt siły roboczej, dosko-
nałe wyposażenie techniczne, do-
bra organizacja. Jednak od roku
1961 japońska produkcja filmo-
wa, która rocznie wynosiła 535
filmów wykazuje tendencję spad-
kową, natomiast frekwencja w
kinach utrzymuje się stale na
wysokim poziomie. Z rozrywk
film zajmuje Japończykowi 88,9
proc. czasu przeznaczanego na
rozrywkę kulturalną. Daleko w
tyle idą rozrywki estradowe
(variete) 2,2 proc., teatr 1,9
proc., koncerty i proc., imprezy
sportowe 0,9 proc. Przybliżo-
niny, że Japonia liczy 94 milio-
ny mieszkańców.

A. N.

W posłowie do powieści
Kadena-Bandrowskiego Jan
Zbigniew Słojewski pisze: „Od
pierwszego wydania „Czar-
nych skrzydeł” minęło z górą
trzydzieści lat. Słowa wyzysk,
bezprawie, nędza, wyblaki i
zbanalniały. Ta drapieżna
książka przywraca im real-
ność”. Czy można to samo
powiedzieć o „Czarnych skrzy-
dłach” — filmie zrealizowa-
nym przez Ewę i Czesława
Petelskich „na motywach po-
wieści Kadena? Obawiam
się, że nie. Tę pasję i drapie-
żność literackiego pierwowzo-
ru film prawie całkowicie za-
gubił. Pozostała plakatuwa,
banalna ilustracja dobrze zna-
nego schematu: zli, zdegene-
rowani kapitaliści, wyzyski-
wani proletariusze, policja i
krew. Znowu otrzymaliśmy
film poczęty z ducha wypró-
bowanego już u nas (wspo-
mniałam o tym w recenzji z
„Czerwonych beretów”) arty-
stycznego creda imię pana Jo-
wialskiego, „Znać to? Zna-
my. No to posłuchajcie”. A
my naprawdę wcale nie ma-
my ochoty tego słuchać.

Porównywanie dzieła litera-
ckiego i filmowego nie jest
najwłaściwszą metodą kryty-
ki, ale w tym wypadku wy-
daje się ono sprawą koniecz-
ną. Powieść Kadena oferuje
materiał bardzo bogaty i za-
razem bardzo trudny. Nie
przeć, ale to nie umniejsza
winy adaptatorów. Zmarnowa-
li bowiem okazję stworzenia
znakomitego, politycznego, po-
lemicznego filmu. Poszli po
linii najmniejszego oporu.
Zrobili film ilustrujący serię
zrezygnowanych obrazków, suchy
i mało odkrywczy artykuł gazo-
towy poświęcony jednemu z
epizodów ruchu robotniczego,
Stanisław Janicki w recenzji z
„Czarnych skrzydeł” zamie-
szczonej na łamach tygodnika
„Film” słusznie zwrócił uwa-
gę na fakt, iż jest to właści-
wie film bez adresata. Powie-
działabym więcej — film bez
określonego i dostatecznie
przekonującego message’u.

Nie jest to też film o doj-
rzewaniu świadomości polity-
cznej i klasowej, bowiem re-
prezentująca ten wątek w po-
wieści postać Tadeusza zna-
lazła się całkowicie na mar-
ginesie adaptacji filmowej i
pozbawiona została jakiegokol-
wiek bądź charakteru.

Nie jest to też film o doj-
rzewaniu ruchu robotniczego,
o zorganizowanej walce robo-
tników, bowiem wątek ten po-
traktowano powierzchownie.
Zignorowano pyszną postać
Martyzela. Dziś zaś w inter-
pretacji Wojciecha Siemiona
nabrali akcentów wręcz humo-
rystycznych. Jak sądzić, nie
leżało to w założeniach twó-
rców. Nie jest to także film
o tragicznej sytuacji górni-
ków Zagłębia, o losie prole-
tariackim, bowiem to o czym
się zeń dowiadujemy nie
przekracza zakresu plakato-
wej, agitkowej informacji. Po-
za jednym, malowniczo neo-
realistycznym widokiem gór-
niczego osiedla nie ma w
„Czarnych skrzydłach” ża-
dnych realiów, żadnej żywej
postaci reprezentującej świat
robotniczy. A przecież po-
wieść aż kipi od realiów, od
świetnie zarysowanych typów.
A przecież właśnie nasy-
cenie filmu żywą, konkretną,
miesistą tanką dialektyczną
byłoby najlepszą podstawą i
gwarancją jego ideologicznego
i artystycznego rezultatu. Po-

ciąg. Nie jest to także film
o tragicznej sytuacji górni-
ków Zagłębia, o losie prole-
tariackim, bowiem to o czym
się zeń dowiadujemy nie
przekracza zakresu plakato-
wej, agitkowej informacji. Po-
za jednym, malowniczo neo-
realistycznym widokiem gór-
niczego osiedla nie ma w
„Czarnych skrzydłach” ża-
dnych realiów, żadnej żywej
postaci reprezentującej świat
robotniczy. A przecież po-
wieść aż kipi od realiów, od
świetnie zarysowanych typów.
A przecież właśnie nasy-
cenie filmu żywą, konkretną,
miesistą tanką dialektyczną
byłoby najlepszą podstawą i
gwarancją jego ideologicznego
i artystycznego rezultatu. Po-

mieszanka

FILMO- WA

został jeszcze w „Czarnych
skrzydłach” świat kapitalistów.
Ale niestety, to co nam mają
na ten temat do powiedzenia
Petelscy, nie różni się
wcale od tego, co już nam
wielokrotnie w różnych wer-
sjach powtarzano. Tyle, że
ironie spod znaku francus-
kiej komedii bulwarowej
zmieszano z nader wątpliwej



Z filmu „CZARNE SKRZYDŁA”

jakości wulgarnym erotyz-
mem. Szczytem nieporozumie-
nia wydaje się postać Coeura
w interpretacji Czesława Wo-
lejki. Zresztą wszystkie po-
stacie filmu pozbawiono ca-
łego ich zaplecza psychologi-
cznego i socjologicznego,
skomplikowanych racji kieru-
jących ich postępowaniem. Po-
zostały kukły-marietki. Re-
alizatorzy nie potrafili zna-
leźć filmowego odpowiednika
owej dosyć subtelnej poetyki,
dzięki której Kaden tak dra-
pieżnie i bezlitośnie kompromi-
tował i obnażał prawdziwe
oblicze swych „bohaterów”.
Pamflet przeobraził się w
bulwarową, nieszkodliwą fa-
rse. Z tego wszystkiego obrona
ręką wyszedł jedynie Ko-
stryń. I zaryzykowałabym na-
wet twierdzenie, że „Czarne
skrzydła” to dramat nieszcze-
śnego dyrektora Kostryńa,
zagubionego, zaplątanego w
trybach bezlitosnego mecha-
nizmu historii, walczącego
beznadziejnie o swą pozycję,
oszukiwanego i samotnego.
Człowieka bezbronno i nie-
uchronnie skazanego na klęskę.
Ale czy o to rzeczywiście
twórcom „Czarnych skrzydeł”
chodziło? I czy po to warto
było robić ten film? Wyobra-
żam sobie (a skoro pisarze
mogą sami robić filmy, to
biednemu krytykowi wolno

sobie przynajmniej wyobra-
zić) „Czarne skrzydła” jako
film o narodzinach, o tworze-
niu się, formowaniu z żywio-
łu i chaosu zorganizowanego,
świadomego ruchu robotnicze-
go. Jako film o ścieraniu się
dwóch racji: racji Tadeusza i
racji posła Mieniewskiego
(ale tego powieściowego) o
„próbie człowieka” i „próbie
przedmiotu” używając kade-
nowskich sformułowań. O
konformizmie ideologii, która
stała się władzą i dąży do u-
trzymania swego stanu posia-
dania i „szanownym obrasta-
niu”. Dialektyka tych dwóch
racji daje przecież syntezę
przewodowej Polski. I to
jest największą wartością po-
wieści Kadena.

I chyba po tej linii winna
iść adaptacja powieści jeśli
mieliśmy otrzymać film ży-
wy, pulsujący, współczesny.
Niestety, zabrakło filmowcom
łwiego pazura w adaptowaniu
„Czarnych skrzydeł”. Wymo-
wa powieści została zlagodzo-
na, stonowana. Wszystko to
co mocne i drapieżne ugrie-
ziono i okastrowano idąc
niestety, na banał i łatwinę.
Co się stało ze świetnym
wątkiem Supernaka, na przy-
kład? Dlaczego zmieniono i
to wcale nie na lepsze pate-
tyczną, symboliczną, niemal
scenę śmierci „Dusia? A zna-
komicie zresztą „filmowo”
rozwiązana scena finałowa
filmu jest w gruncie rzeczy
znów zlagodzeniem, zbanaliza-
waniem powieści ukazującej
brutalnie, iż tragedia ludzka
może stać się żerowiskiem dla
brudnych, prywatnych i pu-
blicznych rozgrywek i inte-
resów, może stać się parawa-
nem chroniącym jej prawdzi-
wych winowajców. Można by
te pretensje wyliczać jeszcze
długo. Ale chyba nie warto.
Wypada się jednak zastano-
wić nad źródłami klęski
„Czarnych skrzydeł” i wielu
innych polskich filmów. Prze-
cież doprawdy szkoda pienie-
dzy na głoszenie światu aż
za dobrze skądinąd znanych
prawd. Przecież odwaga nie
może ograniczać się tylko do
spraw erotycznych. Na co zda-
je się film-schemat, film-illu-
stracja, seria pięknie zrobionych
obrazków? Bo zdjęcia Kurta
Webera są rzeczywiście wy-
mienite. Tworzą klimat, ma-
lują koloryt Zagłębia. Istny
podzw budzić musi umiejętno-
ść wykorzystania szerokiego
ekranu i znalezienia w
ekspresywności samego obra-
zu odpowiedników pewnych
elementów stylistyki Kadena.
I to jest, niestety, najcennie-
sza wartość tego filmu.

Tydzień sportowy

Popsut się nam w tym ty-
godniu troszeczkę program
telewizyjny. No, ale przy-
czyną tego są jak najbardziej
objektowne: przecież Wyścig
Pokoju może spowodować ja-
kieś rozprężenie nawet wśród
twórców telewizyjnych. W
koncu zresztą — nie ma po-
wodu zbytino narzekać na
program, jeżeli znalazły się
w nim transmisje z Wyścig-
u; bo była to chyba natu-
ralna konsekwencja, która po-
winna wynagrodzić całko-
wicie ubóstwo programu.
Niech telewizorowie — a w
ich krębie i niżej podpisany —
nie narzekają, gdyż raz do
roku trafia się taka sporto-
wa atrakcja.

Prawda. Wyścig Pokoju
odbywa się raz do roku, pro-
gram telewizyjny zaś „leci”
przez cały okrągły rok —
tydzień w tygodniu. Trochę
więcej tolerancji dla telewizji
i jej programu, obywateli.
Tolerancja nie przeszkadza
jednak stwierdzić, że mieli-
śmy w ubiegłym tygodniu
tylko jedną premierę teatral-
ną, i zaledwie dwa progra-
my rozrywkowe, z których
ten, zatytułowany „25 minut
z Chórem Czejańda”, emito-
wany z Katowic, był — ko-

rzystając z popularnego o-
kreślenia — poniżej wszelkiej
krytyki. Ponadto mieliśmy
dawno nieogładane „Tele-
echo”, oraz debiut nowej
audycji o charakterze saty-
rycznym „Wielokropek”.
Teatr Telewizyjny wystąpił
ze sztuką Gabrieli Zapolskiej
„Zabusia”. Ta sztuka, podob-
nie jak „Moralność pani Dul-
skiej” należy do najczęściej
eksploatowanych utworów Za-
polskiej. Bardzo dobrze się
wiele stało, że „Zabusia” do-
czekała się premiery teledi-
zycznej, jednak byłoby jeszcze
lepiej, gdyby w miejsce zna-
nej „Zabusi” telewizja po-
kuślała się o wystawienie
utworu niewspółmiernie
mniej popularnego, uważane-
go natomiast za czołowy
spośród wszystkich sztuk Za-
polskiej, a mianowicie: „Ich
czworo”, o którym pisał
Boy-Zeleński w roku 1920,
że: „jest jedną ze sztuk, po
których opuszcza się teatr z
uczuciem pokrzepienia na
duchu. Nie żeby treść była
tak szczególnie budująca, ale
dlatego, że przyjemność spra-
wia widzieć polską komedię,
tak doskonale — poza całym
talentem — tak porządnie
zrobioną i napisaną. Wstyd

powiedzieć, ale ze wszystkich
naszych współczesnych ko-
mediopisarzy ta baba ma
może najbardziej męski
chwyt, największą zdolność
spójnienia, najdalej posunię-
tą ekonomię scenicznego wy-
razu i gestu”. W roku 1924
Boy dodał: Pisząc o „Ich
czworo” po raz trzeci w cią-
gu mego zawodu recenzenta
i tym razem nie mam już
wątpliwości: to jest sztuka
„klasyczna”, z wszystkich
sztuk Zapolskiej może ta
jedna”. — Do tego byłoby, że-
by ta właśnie sztuka Zapol-
skiej — niezwykle drapieżna
w swojej satyrze — znalazła
mecenasa telewizyjnego; mo-
że zechciałby nim być na
przykład Teatr Popularny?
Telewizyjnie przedstawienie
„Zabusi” zostało zrobione
bardzo tradycyjnie. Nie jest
to żadnym zarzutem, gdyż
trudno wyobrazić sobie Za-
polską „nowocześnie”, cho-
ciaż treść jej utworów —
również i „Zabusi” — wciąż
pozostaje aktualną. Miesz-
czanństwo i kółnictwo, które
z taką pasją atakowała Za-
polska, zmieniło jedynie swo-
je zewnętrzne atrybuty; i nie
trudno byłoby znaleźć wśród
nas — tylko już w nowoczes-
nych wnętrzach mieszkal-
nych, z telewizorami zamiast
fortepianów, wiele rodzin
podobnych do rodziny Bar-
nickich. No, ale to tylko
dygresja na marginesie, wra-

cając zaś do poniedziałko-
wego spektaklu, — to zo-
stały w nim stworzone dwie
wielkie kreacje aktorskie:
Jadwigi Bańskiej w roli
Zabusi, i Ignacego Gogolew-
skiego w roli jej męża, Bar-
nickiego.
Debiut satyrycznej audycji
(17. V), która będzie od-
tąd nadawana w każdy piątek,
televizji (raz w miesiącu),
toteż „Wielokropek” nadrobi
te zaległości. Po pierwszej
audycji widać już, że bę-
dzie ona aktualną satyrycz-
ną interpretacją tygodnia. Bar-
dzo dobry pomysł: zobaczy-
my, czy następne numery
„Wielokropka” utrzymają
się na tym poziomie. Miejmy
nadzieję, że tak.
Rewelacyjny program roz-
rywkowy, czyli inaczej: „25
minut z Chórem Czejańda”
(15. V. Katowice), ze wzglę-
du na swój „poziom” nie na-
daje się do recenzowania.
Ale jedna rzecz jest tu cha-
rakterystyczna; otóż, niektó-
rzy autorzy scenariuszy ta-
kich programów rozrywko-
wych uważają wadać, że wy-
starczy w scenariuszu umie-
ścić kilka scenek, w których
będą się produkować, odzia-
ne w trykoty les girls, sta-
nowiące tak zwane „flo” dla
piosenki, i już można sce-
nariusz zgłaszać do akcepta-
cji. Okazuje się jednak, że to
wystarczy i że można. Do-
wód? — „25 minut z Chó-
rem Czejańda”.

KOWALSKI



był ze wszech miar udany.
Żywy, dowcipny, z dobrymi
tekstami, i dobrymi wyko-
nawcami. Satyryczno - roz-
rywkowy magazyn „Miks”
pojawia się nader rzadko w

str. 3

Głos w obronie DOMÓW KULTURY

Ludzie lubią sobie ponarzekać. Ponoć malkontentstwo wszedło ostatnio w modę. Narzeka się więc na budownictwo, na kina, teatry etc. etc. Przedmiotem nagonki są również domy kultury, kluby i świetlice. No to: na funkcjonowanie, balagan, marnotrawstwo, elitarność i tak w nieskończoność. Kilka lat temu szeroko pisało się o tym, że trzeba stworzyć ludziom życie kulturalne, niech robotnik ma swoją rozrywkę, niech słucha odciwto, ogląda filmy i czyta książki. Rosły więc placówki kulturalne jak grzyby po deszczu. Każdy zakład chciał mieć swój klub. Były i fundusze, i lokal, i kadry. Nie było... robotników. Wnętrza, z dobrym czy złym gustem, plastikowo urządzone, świeciły pustkami. Wyraźnie nie szło. Opady więc skrzydła organizatorów, bo jak to: oni tyle zrobili, wpakowali tyle pieniędzy, a ludzie nie umieją tego docenić. No więc niech już ta świetlica stanie się przynajmniej salą konferencyjną, w której od czasu do czasu zorganizuje się okolicznościowa uroczystość. I tak pomalutku kuleją sobie placówki kulturalno-oświatowe, drzemła kierownicy i nie się nie dzieje.

Zakłady im. E. Plater mają swoją świetlicę. Nowoczesne wnętrza, dużo kosztowało trudu i pieniędzy. Szkoda tylko, że nie jest nikomu przydatna. Organizatorzy po prostu zapomnieli o tym, że większość pracowników stanowią kobiety. Należałoby przede wszystkim zorganizować prace kulturalno-rozrywkowe pod kątem przydatności i zainteresowań kobiet. Może jakiś pokaz mody, może kurs kosmetyki, a może kurs kroju i szycia? Nie chcę sugerować problemów, bo z tym należy się zwrócić do pracowników. Niech wiedzą, że placówka de facto istnieje dla nich. Ja wiem, że były i są trudności. Problemem numer jeden wszystkich ośrodków były trudności finansowe — jak związkowi zawodowi daliśmy pieniądze, to świetlica istniała. Ale w tej chwili ten fundusz dobrodziejny, jest już stałą pozycją w budżecie związków zawodowych każdego zakładu. Zostają jeszcze trudności kadrowe i organizacyjne. Na stanowisku kierowniczym powinni oczywiście stać ludzie z wyższym wykształceniem. Tylko skąd ich brać? Odpowiedź — nie ma dobrych pracowników, brak kadr, płynność, jak refren powtarzają się w moich rozmowach. Nie sadzę, żeby tak było istotnie. Rozważania powyższe dotyczyły świetlic i ośrodków. Świetlica jest nasza — mówiono w związkach zawodowych — więc nikt obcy nie może z niej korzystać. Tylko nasi pracownicy. No dobrze, a jeżeli ci pracownicy mieszkają na drugim końcu miasta? Chcieliby pograć w ping-ponga czy brydza, ale świetlica w ich dzielnicy należy do innego zakładu. Dla nich jest zamknięta. Myślę, że w tym wypadku jedynym rozwiązaniem byłoby otwarcie ośrodka na zewnątrz. Istnieją w Łodzi dwa takie otwarte Międzyzakładowe Domy Kultury — „Sezam” na Śródmieściu i „Dom Kultury im. L. Waryńskiego na Przedmieściu”. Oczywiście, i one są wielokrotnie atakowane. I za płynność kadr, i za to, że praca jest nieciągła. Ale może przyczyną złej działalności Domów należy szukać nie w samym kierownictwie? Może w środowisku, dla którego taka placówka rzekomo istnieje? Myślę, że chyba tak. Weźmy przykładowo Dom Kultury na Przedmieściu. Dawniej mówiło się: „Dolku”. Dlaczego właśnie nie tę placówkę wybrałam, to chyba nie takie ważne. Istnieje. Powiedzmy raczej: powinien tu istnieć. No bo rozważmy się. Dzielnica robotnicza i to duża dzielnica. A tu ani kina ani teatru. Jest co prawda osiem świet-

lic, kilka wypożyczalni, ale sama książka człowiek nie wyżyje. Potrzeba i coś dla oka i coś dla ucha. Tak więc na Międzyzakładowym Domu Kultury spoczywa rola propagatora kultury i oświaty wśród robotniczego Włóczęgi. Ze zwrot sztywno sloganowy? Dobrze. Wierzę, że lokal, do którego przychodzi młodzież i starsi. Ot, spędzić wolny czas, obejrzeć program telewizyjny, posłuchać odczytu. Przejrzeć prasę, poczytać książkę, czy może po prostu wypić pół czarnej. A może by pospiewać czy pograć. W Domu Kultury są jak w każdym takim domu sekcje. Nie powstały odgórnie w pięknych projektach rozbudowy Domu, ale wyrósł z potrzeb i zainteresowań młodych robotników. Dom Kultury istnieje już od 1928 r. Przeżyliśmy obecnie pewne trudności. Dostajemy fundusze i na tym koniec. Jesteśmy pozostawieni sobie. Stąd najmniejszą nawet skrawek materiału musimy kupować sami. To pociąga za sobą i wybór sztuki. Nie możemy wystawić przecież bogatej kostiumowej sztuki, choć taką by ludzie u nas chętniej oglądali. A i my wolielibyśmy grać w stylowych strojach. Aktor-amator w sztuce współczesnej zdany jest tylko na samego siebie, a kostium stylowy wprowadza go niejako w sztukę i pomaga grać. Bo sztuki współczesnej mają to do siebie, że na każdym kroku przypominają życie ze wszystkimi jego aspektami, a ludzie przyszli tu w poszukiwaniu ucieczki od codzienności, od zwykłych trosk i zmartwień. Oczywiście, nie wyrażam tu swoich poglądów na sztukę. Chciałam tylko zwrócić uwagę na problem strukturalny społecznej tej działalności i co za tym idzie, na niewątpliwą brak wyrobienia kulturalnego. (To pod rozprawę reżyserowi zespołu teatralno-dramatycznego). Wyżej wspomnianą sekcję jest oczkiem w głowie Domu Kultury. Godna pochwały jest jej praca i jej spektakle wystawione w ostatnich latach: „Balladyna”, „Rewizor”, „Zemsta”, „Jubileusz”, „Królowa śniegu”, „Kopciuszek” — to pozycje wcale ambitne, a wzięcie pod uwagę trudne warunki pracy zespołu, to wyda się wprost niespodzianką, bo... zespół po prostu nie ma gdzie „próbować”. Na scenę wchodzi dopiero o godz. 21 po skończonym seansie filmowym. A ci młodzi chłopcy i dziewczęta są z Bałut, Choleń, Julianowa i innych dzielnic miasta. Iż trzeba poświęcić i samozaparcia, żeby grać. I niech ktoś teraz spróbuje powiedzieć, że kluby są tworem martwym, że są sztucznie podtrzymywane, że kierownicy placówek błądzą w różowy sposób o osiągnięciach. Nie udieram się, że jest wiele klubów czy świetlic deficytowych kulturalnie, ale wydaje mi się, że wynika to z charakteru założenia takiej placówki. Bo co innego, gdy pomysły założenia zrodzi się w głowie działacza, który na siłę będzie chciał urzeczywistnić go, a co innego, gdy wyniknie z potrzeb środowiska. W ostatnim wypadku nie mówi się o „problemach społeczno-politycznych wychowania”, o „atrakcyjności form pracy politycznej” i o „wychowaniu kadr”. Ale jest za to dobra godziwa rozrywka, jest rzetelna praca, są i wieczorki taneczne, oczywiście, bezalkoholowe. Kto nie wierzy niech przyjdzie. Posłucha dobrego zespołu jazzowego i uroczystego piosenkarzki Bronisławy Glinkowskiej. Byłam przyjemnie zadowolona, gdy usłyszałam jej śpiew i urzekająca głębia. Ta młoda dziewczyna śpiewała na Kongresie Związków Zawodowych w Pałacu Kultury i Nauki i zdobyła wyróżnienie za interpretację. Jest absolwentka LSP. Pracuje w tej chwili w WFO, występuje jeszcze w „Petrugu”. Młodzież jest nią zachwycona. Inna atrakcja wieczorków są konkursy i pokazy tańca prowadzone przez Jerzego Ziomek. Tańczy się więc twista i madisona, tańczy się również starego walca, a o pysznej zabawie świadczy uśmiechy tańczących.

Zdezorientowani

Dalszy ciąg
ze str. 1

dość łatwe, że wreszcie wydadzą się atrakcyjne i „młode”.

Pogoń za atrakcyjnym kierunkiem jest zasadniczą pryncypalną wadliwą ukladu kandydatów. Przy czym atrakcyjność to tylko pozorna, nie mająca nic wspólnego z atrakcyjnością rzeczywistą (ciekawą pracą, dobre zarobki, itp.). Inżynieria budowlana jest „atrakcyjna”, a inżynieria sanitarna — wręcz przeciwnie. Dlaczego? Sam zainteresowany maturzysta nie potrafiłby odpowiedzieć na to pytanie.

Utrzymywanie się szoku, jako dziwnych, zastarzanych opinii o kierunkach „atrakcyjnych” i „nieatrakcyjnych” dowodzi tylko jednego — dezorientacji i niewiedzy kandydatów.

Władze oświatowe w ciągu ostatnich dwu lat rozpoczęły zdecydowaną walkę z ową dezorientacją. Od dłuższego czasu niesłychanie modna była archeologia. Wybrano więc po dziesiątej klasie kandydatów na ten kierunek i pod okiem naukowców z UL urządzono dla nich obóz letni. Zamiast wy marzonego zwiedzania egipskich piramid, przyszło „pięknoduchom” kopać i przesiewać piasek pod Lutomerkiem. Większość uczestników obozu zrezygnowała z zamiaru studiowania archeologii.

Zabieg ten był z gatunku perfidnych, ale nie tylko takie stosowano. Oto donoszą do Kuratorium z XIV Liceum: „Trzy uczennice, które chciały studiować psychologię, wybrały matematykę, kiedy nauczyciel wyjaśnił zasady budowy i funkcjonowania elektronowych maszyn liczących”.

W XVII Liceum lekarz i psycholog przebadali wszystkich kandydatów na studia. Opierając się na wynikach badań, starali się oni doradzić młodzieży i rodzicom kierunek studiów, najbardziej odpowiedni ze względu na umysłowe i fizyczne możliwości przyszłego studenta. W efekcie zmalała o połowę ilość zgłoszeń na medycynę oraz na studia filmowe, wzrosła ilość zgłoszeń na politechnikę, pojawiły się zgłoszenia na kierunki rolnicze.

Oto wymowne przykłady, jak wiele działać można rozumnie przeprowadzoną akcją informacyjną.

„RACJONALIŚCI”

Sygnały nadchodzą ze wszystkich bez wyjątku szkół średnich: rozpoczął się „owczy” odwrót od studiów medycznych, liczba kandydatów w porównaniu z ubiegłorocznym wstępnym sondażem, zmalała przeszło o po-

łowę. Nie tak dawno jeszcze Akademia Medyczna nie mogła się opętać od nawału chętnych, organizowała specjalne egzaminy konkursowe, tymczasem, jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce będzie szukać ze świecą kandydatów na wydział lekarski.

Zatriumfowało wszechwładnie przekonanie: studia medyczne się nie opłacają, są zbyt długie i trudne, dają zbyt małe korzyści materialne.

Smutno jest obserwować tego rodzaju „plaski merkantylizm” u współczesnej młodzieży, ale ten medal ma również swoją lepszą stronę: maturzyści zaczęli wreszcie trzeźwo myśleć, zadzierzgnęli jakiś taki kontakt z życiem.

Już wiedzą, czego „nie warto”, nie wiedzą jeszcze co warto, co ma przyszłość. Oto wymowny przykład: Chociaż Łódź staje się centrum poważnego rejonu górniczego, choć od 8 lat istnieje Łęczyca, od dwóch lat pisze się wiele o niedalekich perspektywach Belchatowa, na studia w krakowskiej AGH wybiera się w tym roku... 6 osób. Powie ktoś, że decyduje oddalenie tej uczelni. Nic podobnego — na psychologię do Krakowa, Poznania i Warszawy kandyduje 16 maturzystów.

KRYZYS AUTORYTETU

W rozmowach z maturzystami, w odpowiedziach na pytania specjalnie zorganizowanej przez nas ankiety, uderza pewien szczegół: kompletne załamanie się autorytetu rodziców, gdy chodzi o wybór przyszłego kierunku studiów, więc i przyszłego zawodu. Za punkt honoru młodzieńców poczytuje sobie zazwyczaj, że wyboru dokonał sam.

Pisze do Kuratorium dyrektor XXIV Liceum: „Rodzice godzą się z wyborem kierunku studiów swoich dzieci, ale wystąpiła rozbieżność poglądów — na przykład w 9 wypadkach rodzice wybrali Akademię Medyczną, zaś młodzież — kierunek zgodny z ich możliwościami”.

No tak, rodzice pozostają w kręgu tradycyjnych pojęć, uważają zawód lekarza za osiągnięcie nadzwyczajnej pozycji społecznej, dzieci są zupełnie innego zdania. Tyle już wiemy i nie to zaskakuje w korespondencji dyrektora. Znamienny jest fakt, że dyrektor w ogóle nie dopuszcza możliwości, by rodzice mieli cokolwiek do powiedzenia w sprawie przyszłości swoich dzieci.

Tak jest w rzeczywistości. Ale jakiś autorytet musi istnieć, powinna nim być szkoła. Dotychczas wszystko, lub niemal wszystko, sprowadza się do tego, że uczeń wybiera specjalność, reprezentowaną przez najbardziej lubianego nauczyciela.

to było tak łatwo? Taka na przykład sala gier (bardzo przyjemnie urządzone), świetlica pustkami, a w parku na ławce ludzie grali w szachy czy warcaby. Warunki lokalowe? Mój Boże, jest parę sal, ale i tych niezbyle wiele. Chcę tutaj przestrzec kierownictwo DK przed nadmiernym mnożeniem sekcji. Mówię o tym, bo znam plany na przyszłość. Mają się więc tam znaleźć i kursy języków obcych — niemieckiego i rosyjskiego i katechizm dla dorosłych. To oczywiście ambitne plany, ale czy taka wielostronność nie doprowadzi do obumarcia istniejących już sekcji? Bo na nadmiar sal placówka nie narzeka. Warto więc chyba uchronić Dom Kultury przed ewentualnymi błędami. Tych dotąd jest niewiele. Posadzając się jednak o bezkrytyczność, zasięgnęłam opinii

CZAS SKOŃCZYĆ Z IMPROWIZACJĄ

Mimo wszystkich wspomnianych wyżej paradoksów, trzeba stwierdzić, że kandydaci wybierali w tym roku znacznie bardziej prawidłowo, niż w latach poprzednich. Świadczy o tym choćby wzrost zainteresowania studiami technicznymi.

Z pewnością jest to w dużej mierze rezultatem przeprowadzonej w szkołach akcji informacyjnej. Rozwijanie tej akcji — pod najróżniejszych postaci — wydaje się być jedyną rozsądną drogą na przyszłość.

Na razie — trzeba zdawać sobie sprawę — jesteśmy dopiero u początku drogi. W niektórych szkołach cała akcja ograniczała się do „wypytywania” uczniów, jakiego kierunku studiów wybierają i sporządzania sprawozdania.

Aż się prosi, by w klasie XI wprowadzić swego rodzaju nowy przedmiot: „Wybór przyszłego kierunku studiów”, wykorzystując z powodzeniem do tego celu lekcje wychowawcze. Nauczyciel powinien dysponować jakimś materiałem, który ułatwiłby nam prowadzenie takich lekcji.

„Informator dla kandydatów na studia wyższe” takiego materiału nie dostarcza, jest suchym spisem uczelni i kierunków, do którego zagląda się dla upewnienia, nie zaś dla dokonania wyboru. Informator nie podaje nawet przybliżonej liczby miejsc na poszczególne kierunki! Nikt nie wpadł na to, że taka informacja mogłaby nas ułoić od natłoku na niektórych specjalnościach przy braku kandydatów na inne. Skąd kandydat ma wiedzieć na przykład, że biochemia dysponuje 15 miejscami a chemia spożywcza liczbą dziesięciokrotnie większą?

Niżej podpisanemu marzy się taka sytuacja, kiedy kandydat na dany kierunek już rok czy nawet dwa lata przed rozpoczęciem studiów dostawałby się pod opiekę przyszłych profesorów, otrzymywałby prospekty informacyjne i programy studiów, wiedziałby do czego się sposobie, w jakim kierunku rozwijać swoje zainteresowania, jaką wybrać lekturę, itd.

Sporadyczne wizyty naukowców czy studentów w szkołach średnich, takiej roli nie spełnia, uczeń niewiele zapamięta z przypadkowej prelekcji.

Przeczytając zamieszczone poniżej odpowiedzi z naszej ankiety. Przekonanie się, że młodzież myśli coraz bardziej rozsądnie, w co raz mniejszym stopniu w wyborze kierunku studiów powoduje się modą czy fałszywą tradycją, szuka sobie właściwego miejsca, chce być przydatna. Trzeba jej w tym pomóc.

JULIAN BRYSZ



JAKI WYBIERAM KIERUNEK STUDIÓW I CO MNIE DO TEGO SKŁONIŁO?

Wybrałam cybernetykę, ponieważ „kraj” mózgow elektronowych i innych automatycznych urządzeń ma ogromną przyszłość. Moim marzeniem jest przyczynić się do wynalezienia nowej, świetnej maszyny elektronicznej.

Mimo, że wujek — właściciel inżynierski — z całego serca ten rodzaj studiów mi odmawia (obrzydzały mu go trudności w pracy), postanowiłam niezłomnie skończyć politechnikę na tym wydziale.

Wybrałam studia chemiczne. Najbardziej ze wszystkich przedmiotów wykładowych w szkole średniej interesuje mnie chemia. Lubie te lekcje, bardzo mi się one podobają.

Widziałem umierającego ojca i wtedy postanowiłem zostać lekarzem. WAM wybierałem dlatego, że moja sytuacja finansowa nie jest najlepsza.

Wybrałam handel zagraniczny. Co mnie skłoniło? To bardzo trudno powiedzieć. Chciałabym podróżować, poznać inne kraje. A poza tym, będą tam wykładowe przedmioty, które ja lubię. Decyzję o tym podjęłam sama, bez nakłaniania ze strony rodziców.

Na decyzję wyboru kierunku studiów wpływali rodzice, wybrałam sama. Interesuje mnie literatura germanistyczna. Wiele utworów nie zostało w ogóle przetłumaczonych na język polski, a mam ochotę je przeczytać. Co do przyszłej pracy, chciałabym tłumaczyć książki.

Wybrałam Studium Nauczyciela. Niełatwo, ponieważ nauka trwa tam stosunkowo krótko.

Wybrałam się na farmację. Interesuje się chemia i jak mój tata, szerokie zastosowanie. Przemysł farmaceutyczny bardzo się rozwija i ma dużą przyszłość.

Kierunek studiów wybrałam, kierując się swoimi zainteresowaniami oraz perspektywami znalezienia pracy, która dałaby mi pełne zadowolenie. Obecnie, będąc też w posiadaniu pewnej ilości absolwencji wydziału elektrycznego, bardzo chciałabym mieć pole do napisu, biorąc pod uwagę szerszy rozwój przemysłu w naszym kraju.

Co mnie skłoniło do wybrania chemii, raczej nie wiem. Może namowa rodziców, którzy stawili mi jednak w tej sprawie wolną rękę. Może również możliwość praktyki za granicą w tym kierunku nauki. Ale to powody zaważyły na moim wyborze na pewno w bardzo małym stopniu.

liśmy się z dużymi trudnościami — awantury, bóle, kradzieże. Teraz jest już prawie spokojnie. Jeżeli interweniuje, to w sprawach nie tak poważnych”. A więc i drugie bardzo autorytatywne zdanie jest za mną. A co na to sąsiedzi? Szkoły? Dom Dziecka? Podziękowania, wyrazy wdzięczności za współpracę i gościnne występy. Ani słowa o demoralizującym klimacie takich klubów o fikcyjnych sekcjach i planach na papierze. Wiele może istnieć i istnieje dobry dom kultury. (Nie twierdząc, że w innych warunkach okazywałyby się nie wystarczające, ale tu spełnia swoje zadanie). I myślę, że każdy dom kultury czy klub, czy świetlica funkcjonowałyby bez zarzutów, gdyby problemy ich wyrosły z potrzeb środowiska. Wspomnianie o „niechęci społeczników nie zawsze zdaje egzamin!”

OSTRZEŻENIA po FESTIWALU

Dalszy ciąg ze str. 1

tegoroczny repertuar to istotnie nie bardzo było co pokazać. I nie bardzo było z czym do tego Kalisza wyjechać. Zaprezentowano więc wszystko czym chata bogata i co w niej było najlepsze. A było w niej jak pokazał Festiwal niewiele do zaprezentowania.

Okazało się bowiem w Kaliszu, że w teatrach łódzkich nie się nie dzieje. Że w Łodzi nie gra się ani kłasyki, ani utworów współczesnych. Że nasze teatry nie mają w gruncie rzeczy nic do pokazania takiego, co świadczyłoby o jakichś artystycznych poszukiwaniach, co byłoby jakąś propozycją współczesności w teatrze. Wtedy, gdy teatry prowincjonalne grają autorów współczesnych, gdy podejmują próby nowego odczytania klasyki, łódzkie teatry trwają w słodkim samoupięciu, w odurzającym samouwielbieniu. Wtedy, gdy dyrektorzy naszych teatrów głoszą wszem i wobec, że nie ma co grać i że grać nie ma dla kogo, na scenach prowincjonalnych i jest co grać i jest gracz dla kogo.

W Zielonej Górze Marek Okopiński pokazuje „Zejście aktora” Ghelderodego, sztukę trudną i wymagającą przygotowania, o skomplikowanej problematyce moralnej i filozoficznej, pokazuje „Wyzwolenie” będące śmia-

łą propozycją nowego potraktowania Wyspiańskiego. Po kazuje bez obawy, że widz, do którego przemawia (jest to teatr objazdowy) nie zrozumie jego intencji. Buduje teatr mający młody bardzo zespół aktorski, powierzając rolę Konrada aktorowi będącemu trzy lata na scenie. I odnosi zwycięstwo. Spytajmy dlaczego.

Teatr koszaliński gra Mroźka i Witkiewicza. I to jak gra Witkiewicza. (Nienagrodzenie tego przedstawienia uważam za jeden z poważniejszych błędów jakie popełniło jury konkursu). Gra też „Kordiana”. I choć nie jest to przedstawienie udane, choć przeciw zarówno reżyserowi, jak i aktorom wysunąć by trzeba wiele zarzutów, odwaga z jaką Jan Maciejowski potraktował tekst Słowackiego i jego artystyczny zamysł (Maciejowski przebudował „Kordiana”, zmienił porządek scen, spróbował zagrać dramat polityczny) zasługuje jeżeli nie na uznanie, to przynajmniej na uwagę. Dyskusyjne pozostają bowiem kompetencje i prawa reżysera nie zachowującego wierności wobec tekstu sztuki, podobnie jak dyskusyjny pozostaje fakt potrzeby zabiegów nie prowadzących jak w wypadku „Kordiana” koszalińskiego do motywowanego potrzebą artystyczną celu.

Spytajmy jednak dlaczego można grać Mroźka w Koszalinie i Gnieźnie, spytajmy dlaczego gra się tam Witkiewicza. Spytajmy, bo łódzkiej publiczności teatralnej nie pokazuje się Mroźka (raz zagrano „Polleje” w Teatrze 7.15, ale było to już bardzo dawno temu), mimo że sztuki Mroźka o bieglej sztuczności niemal same polskie i fakt ich pokazania przestał być już dawno aktem odwagi. Spytajmy, bo łódzcy dyrektorzy teatrów, zdają się sądzić, że poza Broszkiewiczem i Skowrońskim nie ma w Polsce autorów dramatycznych, których sztuki warto by pokazywać. Nie grywa się w Łodzi sztuk współczesnych. Grajmy więc klasykę. Ale cóż z tej klasyki można było na łódzkich scenach ostatnio zobaczyć? „Grube ryby”, „Zemście”? Repertuar w istocie „śmiały” i „odkrywczy”.

I myślę, że długo jeszcze mówić się będzie jaką to ogromną zasługą poniósł Teatr Jaracza wystawiając „Termitiera” Zbigniewa Nienackiego, choć sztukę tę nagrodzono na dwóch konkursach. A fakt jej scenicznej realizacji w Łodzi dalej służy jako argument w dyskusji o mecenacie naszych teatrów nad rozwijającą się młoda dramaturgia. I choć na palcach można wyliczyć próby pokazania na naszych scenach sztuk

autorów współczesnych, których wystawienie byłoby dla teatru pewnym, finansowym ryzykiem. Oczywiście, lepiej grać „Milość i neutrony”, czy śpiewogry w rodzaju „Wesołego miasteczka”. Tylko, że w ten sposób okaże się nagle, że Łódź jako miasto teatralne przestała się w ogóle liczyć.

Myślę, że dobrym prawem teatru są poszukiwania nawet wtedy, gdy okazują się one artystycznym niewypałem. Tego dobrego prawa nasze teatry nie wykorzystują. W teatrach prowincjonalnych z mniejszym lub z większym efektem artystycznym stawia się propozycje. Na tegorocznym Festiwalu Kaliskim było takich propozycji przynajmniej kilka. Co zaproponowały w tym sezonie teatry łódzkie? Interesujące po kazanie Ibsena. Kilka co najwyżej poprawnych przedstawię. To wszystko. I jakże można mieć zaufanie do teatru, który obok „Niepokoju przed podróżą” gra „Dziłą kaczkę”.

Festiwal Teatralny w Kaliszu dowiódł już, że w naszych teatrach holdujemy do brym, konserwatywnym zasadom. (Na Festiwalu Dramatów Współczesnych, który odbywa się teraz we Wrocławiu Łódź nie miała z czym wystąpić. Oto rezultat polityki repertuarowej naszych teatrów). Grajmy to co usłgione, albo to co daje pieniądze. Tylko nie wiem czy 250 tysięcy jakie lekką ręką włożono w „Klub Pickwicka” nie lepiej było umieścić gdzie indziej (można za te pieniądze wystawić około pięciu sztuk współczesnych. Nie mówmy więc, że nie ma pieniędzy). Zapominamy bowiem zbyt często (teraz, gdy pamiętają o tym teatry prowincjonalne jest to błąd trudny do wybaczenia) o dydaktycznej roli teatru. Żeby widz nauczył się patrzeć i myśleć w Teatrze, żeby rozumiał intencje i zamiary zarówno autora, jak i twórcy przedstawienia, nie można dawać mu do oglądania „Wiernej rzeki” i „Klubu Pickwicka” obok „Wesołego miasteczka”. Jeżeli nie zaczniemy grać w Łodzi Witkiewicza, jeżeli nie pokażemy tego co dotąd w Teatrze zrobiono, nigdy nie będzie można grać w Łodzi autorów współczesnych. Nigdy nie będzie można zaprezentować problematyki artystycznej naszych czasów. Wydaje mi się, że kierownicy naszych teatrów, zapominając o istnieniu Teatru Telewizji. Z jego popularności nie trudno wciągnąć wnioski. To nieprawda, że widzowie

nie chcą oglądać sztuk tzw. trudnych. Widzowie stawiają tylko teatrowi coraz większe wymagania. I chcą oglądać po prostu dobre przedstawienia. A oto w Łodzi coraz trudniej.

Nie jest tajemnicą, że nie ma u nas żadnej indywidualności artystycznej mogącej prowadzić teatr, mający szansę stawiania propozycji. Podczas gdy na prowincji pracuje wielu utalentowanych młodych reżyserów, reżyserów, którzy takie propozycje stawiają, łódzkie teatry egzystują bez choćby jednego reżysera z prawdziwego zdarzenia. Czyż fakt ten nie wydaje się co najmniej dziwny?

Na Festiwalu Kaliskim Łódź zaprezentowała spektakle co najwyżej poprawne. Spektakle, w których grali bardzo dobrzy aktorzy. Takich bowiem w Łodzi jeszcze mamy. Jak długo pozostaną jednak w mieście nie dającym im zbyt wielu szans? Na Festiwalu została więc oceniona praca aktorów. I choć werdykt jury oceniał poszczególnych rolę mogła budzić zastrzeżenia (sądząc, że rola Jerzego Walczaka oceniona powinna być wyżej, podobnie jak krzywdzący wydaje mi się fakt pominięcia Tadeusza Mincza w roli księdza w sztuce Gomeza), nagrodzenie spektakli Teatru Ziemi Lubuskiej i „Samuela Zborowskiego” pokazanego przez Teatr Kameralny było dla tych, którzy obserwowali Festiwal oczywiste.

Okopiński zbudował „Wyzwolenie” na jednej właściwej scenie sztuki — na rozmowie Konrada z maskami. Resztę do „Wyzwolenia” dodał. Oparł inscenizację na monologu wewnętrznym i prawu monologu podporządkował głosy, z którymi Konrad wiedzie dialog o sobie, poezji i o Polsce. Przedstawienie jest bardzo misternie. Fikcje nakładają się, mamy teatr w teatrze i narodową szopkę i mamy coś jeszcze ponadto. Jest to przedstawienie groteskowe i ironiczne. „Wyzwolenie” jest tu sztuką polityczną, skierowaną przeciw narodowym kompleksom, sztuką wykiwającą i wyszydającą. Okopiński pokazał poprzez tekst Wyspiańskiego problemy współczesne, inaczej Kreczmar. Jego „Samuel Zborowski” miał być tylko prezentacją mistycznego teatru Słowackiego. Kreczmar nie mówił poprzez Słowackiego o nas, o naszej rzeczywistości, o problematyce dzisiaj istotnej. Chce tylko ocalić Słowackiego. Zezwala aktorom na romantyczny gest i romantyczny zaśpiew, ale buduje przedstawienie oszczędnie, inscenizuje współcześnie. Broni Słowackiego broniąc jednocześnie poezji.

Nie znam zamiarów artystycznych towarzyszących wystawieniu „Przypadku z Vaterlandem”, ani też wystawieniu „Kariery Artura UI”. I nie wiem czy one w ogóle istniały. Podobnie jak nie wiem jakie względy kierują pokazaniem większości grywanych u nas sztuk. Sądję jednak, że nad problemami teatru w Łodzi należałoby się zastanowić. Kaliskie Spotkania były sygnałem ostrzegawczym.

EWA SULIBORSKA

JÓZEF DUTKIEWICZ

P A K T PIŁSUDSKI-HITLER

Ukazała się pod tym tytułem ostatnia książka K. Laptera, (Książka i Wiedza, 1962 s. 330). Podtytuł brzmi: polsko-niemiecka deklaracja o niestosowaniu przemocy z 26 stycznia 1934. Otrzymałszy dokładny drobny wydruk z tekstem układu polsko-niemieckiego, który była wymieniającą jako jedną z przyczyn klęski wrześniowej. Nie jest to jeszcze pełna monografia tego aktu, bo Lapter nie daje jego dalszych losów aż do rozkładu w 1939. Jednak wyświetlenie przyczyn jego powstania daje poważny wgląd w politykę zagraniczną Polski sanacyjnej.

Czy tytuł książki jest adekwatny? Chyba tak. Dokument podpisany w Berlinie przez naszego ambasadora Lipskiego 26 stycznia 1934 był w dużym stopniu dziełem osobistym Piłsudskiego i Hitlera. To jest też książka, którą autor dysponując bogatym materiałem już opublikowanym i aktami naszego MSZ stara się udowodnić. Wszyscy wiemy, że Beck był ścisłym wykonawcą planu Piłsudskiego, ale Lapter pokazuje jak w czasie nieobecności Becka w Warszawie w styczniu 1934 jego zastępca Szembek kontaktował się z Piłsudskim w sprawie ostatecznej redakcji paktu o nieagresji. Na podstawie opublikowanych przez Anglików dokumentów niemieckich wykazuje Lapter, jak Hitler musiał złożyć opozycję niemieckiego ministerstwa spraw zagranicznych w sprawie zmiany kursu w stosunku do Polski. Lapter parokrotnie podkreśla, że na Wierzbowej rachowano na to, że Hitler jest Austriakiem, że z tego powodu nie będzie upierał się przy forsowaniu polityki pruskiej Drang nach Osten.

Drugą podstawową tezę książki jest twierdzenie, że zbliżenie niemiecko-polskie miało wydzierać antyradzieckim, choć Lapter zgadza się, że tezy o rzekomych tajnych układach porozumienia są fałszywe. Lapter słusznie zwraca uwagę, że pewne rozmowy radziecko-polskie z lat 1931 i 1933 miały charakter dywersyjny: nacisku na Berlin, nie były prowadzone serio. Wywołały one rzeczywiste zaniepokojenie władz Trzeciej Rzeszy.

Trzecia zasadnicza teza książki, to przeświadczenie, że nie istniały polskie propozycje wojny prewencyjnej w 1933 r. Teza ta nie jest wypowiadana w sposób apodyktyczny. Lapter ogólnie stwierdza, że dotychczas opublikowane materiały nie pozwalają na uzasadnione przyjęcie faktu polskich sondażów w Paryżu co do ewentualnej wojny prewencyjnej. Tezę tę obecnie lansuje sanacyjna historiografia na Zachodzie i na ogół przyjmuje historiografia niemiecka w NRF znajdując w tym fakcie pewien argument rozgrzeszający Hitlera za wypowiedzenie paktu o nieagresji w kwietniu 1939. Istnieje na ten temat już niemała literatura (ostatnio prof. Batowski, Najnowsze dzieje Polski t. V 1962), gdzie znajdujemy wypowiedź o możliwości przeniesienia pewnych rozmów z jesieni 1933 na wiosnę 1934.

Nie ulega kwestii, że Lapter słusznie podkreśla ustępstwa Polski co do statutu Gdańska tkwiące już w

pierwszych rozmowach na temat odprężenia stosunków polsko-niemieckich. Niemniej poważne ustępstwa zrobił nasz rząd co do mniejszości niemieckich w Polsce, ułatwiając Hitlerowi stworzenie płatych kolumny na terenie państwa polskiego. Stosunkowo niewiele miejsca poświęcił Lapter gospodarczym konsekwencjom zawieszenia wojny celnej z Niemcami.

Także nieco marginesowo potraktowany jest problem uniezależnienia się polskiej polityki zagranicznej od Francji. W książce nie mamy terminu „polityka mocarstwowa”. Tymczasem dla naszych władz sanacyjnych ten termin był drogi i stanowił program. Rok 1934 to przecież okres tzw. afery Boussaca, która tyle złej krwi wywołała w Paryżu i spowodowała duże ochłodzenie stosunków polsko-francuskich.

Wydaje się też, że nasz autor niesłusznie lekceważy linię polityki polegającą na lawirowaniu między Niemcami a Związkiem Radzieckim, jaką próbował uprawiać dyplomata z Wierzbowej. Dla Becka podpisanie paktu z Niemcami w 1934 nie oznaczało przekreślenia paktu o nieagresji podpisanego w 1932 z ZSRR. Czy to była polityka realna, to inna sprawa. Raczej chimeryczna. Lapter ma rację podkreślając jak pakt 1934 wciągnął Polskę w orbitę niemieckich interesów i niemieckiej polityki. Trzeba jednak zważyć, że podporządkowanie Polski wskazywałoby z Berlina musiałoby się odbywać w sposób zakamuflowany, bo nasza opinia publiczna mogła w tym względzie wywierać pewien nacisk na rząd. Trzeba chyba liczyć się z faktem, że cała przeszłość Piłsudskiego skłaniała go do przesadnego podkreślenia niezależności i oryginalności polskiej polityki.

Książka doc. Laptera jest przykładem dobrej roboty naukowej. W aneksach podaje szereg dokumentów, które w różnych wydawnictwach oficjalnych (księgi kolorowe) zostały zniekształcone. Można je teraz otrzymać we właściwym brzmieniu przez porównanie z innymi wydawnictwami lub oryginalnymi aktami w archiwum naszego MSZ. Na to archiwum autor powołuje się dość często. Dysponuje poza tym obfita literaturą pamiętnikarską, wydawnictwami źródłowymi, których na Zachodzie ukazuje się coraz więcej. Spis literatury na 10 stronach obejmuje 31 przeważnie wielotomowych wydawnictw źródłowych, ponad 200 pozycji książkowych, pamiętników i opracowań. Nie pominięto zostały opracowania polskie ukazujące się na Zachodzie, ani też artykuły wnoszące wiele nowego materiału. Uwzględniono prace współczesną przede wszystkim polską dla pokazania oceny zawartego porozumienia przez polską opinię publiczną. Sam autor uważa za swój najistotniejszy dorobek pokazanie, jak nasza polityka zagraniczna zależna była nie tylko od sytuacji międzynarodowej i zewnętrznych nacisków, ale sytuacji wewnętrznej, społecznego podłoża sfer rządzących w Polsce od maja 1926 r.

IDEALY ŻYCIOWE

Dokończenie ze str. 2

toruje drogi naprzód, wydaje mi się, młodej prozie współczesnej.

Może znowu wersja bohaterów Balzaca, Stendhala, może jakaś nowa wersja Geisla, Bolesława Prusa, współczesnego, serio potraktowanego wyłoni się z amalgamatu młodej prozy współczesnej.

Krótko mówiąc sądzę, że nie ma recept na bohatera pozytywnego, który by niósł ze sobą egzemplifikację sukcesu życiowego, który by pokazał jak iść gładką trasą wyśafatowaną. Może chodziło o całą romantykę niespodzianek, o cały klimat z Trumaną Capotą, o te zwariowane ideały, owiane pseudo-wielkim skandalem.

Nie ma recept na szczęście, nie ma recept na sukces życiowy, zawodowy jest tu Gracjan zmodernizowany, zawodowe są przepisy, bo życie przebiega w różnych płaszczyznach. Nie jest to pochwala jakiegokolwiek robinsonady. Jeśli chodzi o deklaracje, to byłoby to oddanie głosu — Woli, najsłodszej może władzy człowieka, nie osamotnionej w syntezie poznawania siebie i świata, przekształcania siebie i świata.

JERZY WALEŃCZYK

MIECZYSLAWA KAUT

JESTEM GORĄCYM MLEKIEM

Jestem gorącym mlekiem białym przykryta kożuchem zdejmują go ze mnie z niesmakiem dwa pulchne palce dymię na świat mlecznym ciepłem z białego garnuszka z ogromnym uchem.

Nade mną usta otwarte szeroko różowy język przelicza zęby krawędź przechylonego garnuszka pieczętliwie obejmują wargi górna unosi się i przelewam się biała gorąca w ciemną czeluść gardła.



W miększu arbuza

tak się nazywa czerwone ciało owocu są czarne śliskie pestki nasienia delikatne żyłki w gąbczastej masie wody w gmatwaniu tkanki owocnej znalazzone białymi żarłocznymi zębami soki czerwonym spływają po brodzie zostaje ciemnozielona twarda skóra wyścielona białym łonem soczystego owocu na skórze cięcia noża ostre równo i łapczywych zębów niecierpliwie ślady.

W nocy

trzępotały we mnie cztery serca były głośno w dzwonie mojego ciała obudziłam się pulsuje delikatnie jedno serce moje ciało jest skrzydłem muchy.

LEK



Mechanik Dupas i kpt. pil. Skarżyński — dyr. de Vieux.

W 30
rocznicę
przelotu
Atlantyku

ZBIGNIEW JAN CHOJNACKI

Niewysoki, szczupły człowiek o sympatycznej twarzy i lekko siwiejących skroniach był uosobieniem skromności, a jednocześnie niezwykłej siły woli i charakteru. Na ogół mało mówny — nie lubił rozgłosu, wszystkie swoje przedsięwzięcia wykonywał spokojnie, w tajemnicy — a kiedy się odezwał, głos jego był cichy i niezmiennie spokojny. Nigdy nie brał udziału w żadnych zawodach, imprezach i popisach lotniczych. Pragnął dokonać czynu wielkiego, rozślawiającego imię polskiego lotnictwa na świecie. Kiedy z pułku odnosił wrażenie, że kpt.-pil. Stanisław Skarżyński ustawicznie coś kłuje. Nikt jednak nigdy nie podejrzewał, że ten skromny kapitan — pochodzący gdzieś z Łódzkiego — stanie się bohaterem historycznym lotnictwa nie tylko polskiego, lecz i światowego.

I oto nagle ośnił wszystkich swym brawurowym lotem dookoła „Czarnego Ładu” — Afryki. Wraz z por.-obs. inż. Markiewiczem wystartowali w mroźny ranek 1 lutego 1931 roku do wielkiego lotu ponad Afrykę na samolocie polskiej konstrukcji: PZL „L2”. Jako pierwszy

Polak przeleciał równik i okrążył „Czarny Ład”, przebywając w powietrzu 23.770 km. Zwycięsko powrócił do kraju, uzyskując „kredyt moralny” u zwierzchników i miano „Wielkiego Afrykańczyka” wśród kolegów i społeczeństwa. Lot ten jednak nie zaspokoił ambicji skromnego kapitana. Podczas bicia

na miejscu drugiego pasażera 300-litrowy zbiornik benzyny i dwa dodatkowe zbiorniki w skrzydłach — każdy po 113 litrów, co zwiększało zasięg samolotu do 5.000 km. Rozpiętość skrzydeł 10,2 m i długość 7,2 m oraz 110 konny silnik czyniły maszynę liliupucią. W kwietniu samolot był gotowy do lotu.

du. Nazajutrz Polak poleciał do St. Louis, gdzie powitał go dyrektor Aeropostale'u, p. de Vieux — wznaczony przez Aeroklub Francji na komisarza sportowego — pod którego kontrolą miał odbywać się rekordowy przelot. RWD po przebiegu ponad 6.000 km wyglądała jak nowa, budząc podziw p. Vieux i jego współpracowników. Chwalono polskich konstruktorów. Po załatwieniu formalności związanych z przelotem kapitan Skarżyński poprosił p. de Vieux o rozmowę w cztery oczy. Wkrótce znaleźli się sami w gabinecie dyrektora. Polak wyjawiał swój prawdziwy zamiar: „Chcę bić rekord dużej przelotu, ale przez Atlantyk!” Francuz zbliżył się do niego, nie mógł przez chwilę wymówić słowa, a potem rzekł ze zdumieniem: „Jak można w takiej łupinie lecieć przez Atlantyk? Przecież nie ma pan ani spadochronu, ani łodzi gumowej, ani radiostacji i sekstansu! To szaleństwo! Zupełne szaleństwo! Jednakże pilot z właściwym sobie spokojem wyperswadował dyrektorowi nieprzydatność wszystkich tych przedmiotów i przekonał Francuza, który obiecał mu swą pomoc. Nawet tu w St. Louis zataił przed wścibskimi dziennikarzami swój

pasaty, ulewne deszcze i porywiste wiatry, a wokoło ciemna noc, ani skrawka światła na drodze. Kiedy wylądował na lotnisku Maceio, w Brazylii, kierownik radio stacji zapytał cywila w szarym garniturze i takimże p. l. śniowym kapeluszu, skąd przybywa. Skarżyński odpowiedział spokojnie, że z Afryki. Zdumiony kierownik patrzył na dziwnego pilota i nie wierzył, aby na tak małej maszynie i w takim stroju można przelecieć ocean. Dopiero depesza nadana przez p. Vieux z St. Louis potwierdziła prawdziwość Polaka. Podobny wypadek spotkał brazylijskiego pilota w Rio de Janeiro, kiedy dziwno no się jego strojowi i zarzucono mu, że jest nie ubrany. Według witających pilot powinien być ubrany w kombinezon i haubę z okularami. Gazety brazylijskie i argentyńskie, a po nich cała prasa światowa nie szczędziły sażnistych artykułów o niewiarygodnym wyczynie kapitana Skarżyńskiego, a po myślowi Brazylijczycy wymyślił w lot nazwę dla pilota, który samotnie dokonał ryzykownego przelotu oceanu: „Condoro Silencioso” — „Milczący Kondor”. FAI (Międzynarodowy Związek Lotniczy) nadał kpt.-pil. Skarżyńskiemu za ten wyczyn Medal Bleriota. Odznaczeniem tym

miesięczny rajd po większych miastach Brazylii i Argentyny, gdzie skupiała się liczna Polonia osiadła tu jeszcze przed I wojną światową, wyobrażając sobie Polskę taką jaką została przed laty — kraj niewolniczy i zacofany. Tymczasem przelot polskiego lotnika na polskim samolocie ożywił ich dumę narodową. Kpt.-pil. Skarżyński swym brawurowym lotem uczynił więcej, niż się spodziewał. Ustalił rekord międzynarodowy, potwierdzając tym wielkość polskich lotników i polskich maszyn, zareklamował samolot, dzieło polskich konstruktorów i pracę polskiego robotnika, a przede wszystkim podniósł ducha uchodźstwa polskiego, które naocznie przekonało się o wartości swego kraju i rodaków w nim żyjących, o czym teraz rozpisują się prasa niemal całego świata.

Najtrafniej ocenił wyczyn „Milczącego Kondora” ówczesny dowódca lotnictwa, gen. Rayski: „Lotnictwo wtedy jest silne, kiedy ma dobrych pilotów i dobre maszyny. Ale wtedy dopiero zaczyna być wielkie, kiedy ma swoją legendę. Kapitan Skarżyński jest jednym z twórców legendy polskiego lotnictwa”.

Po wybuchu II wojny światowej p. pil. Stanisław Skarżyński przedzierał się na Zachód, jak wielu innych lotników. Latał we Francji, a potem prowadził szkolenie pilotów w Wielkiej Brytanii. Jednakże pragnie latać i zgłasza się na front jako zwykły pilot. Przydzielony do 304 dywizjonu bombowego Ziemi Wielkopolskiej kontynuuje loty nad Niemcy. W dniu 25 czerwca 1942 roku w czasie powrotu z wyprawy bombowej nad Bremen, jego „Wellington” zostaje uszkodzony i zmuszony do wodowania na Morzu Północnym, o godzinie 2.15 w nocy. Maszyną wodowała w pobliżu wybrzeży brytyjskich koło Cromer. „Wielki Afrykańczyk” i „Milczący Kondor” ciężko ranny w obie nogi, wydaje zabodek rozkaz opuszczenia tonącego bombowca, sam zaś ginie w falach wzburzonego morza. Zwłoki jego wyłowili Niemcy niedaleko wyspy Terschelling (Wyspy Fryzyjskie) i tam pochowali w grobie nr 62, a symboliczna mogiła znajduje się na cmentarzu w jego rodzinnym miasteczku Warcie, gdzie się urodził w roku 1899 i gdzie spędził swoją młodość.

„Milczący Kondor”

kowania nad Zatoką Gwinejską pociągał go Atlantyk. Tam właśnie zrodziło się postanowienie przelotu nad oceanem. Zdawał sobie jednak sprawę, że po niepowodzeniu mjr. Idzikowskiego nie uzyska zezwolenia na przelot Atlantyku. Prosił więc do wodztwo o zezwolenie na ustalenie międzynarodowego rekordu długości lotu na maszynie sportowej kategorii drugiej, do której można było zaliczyć RWD-5. Sugerował przy tym odcinek położony możliwie blisko Atlantyku: St. Louis (Afryka) — Lyon (Francja). Uzyskał zgodę.

RWD-5-bis przystosowano do rekordowego lotu, montując

Aż wreszcie 27 kwietnia 1933 roku kpt.-pil. Stanisław Skarżyński startuje z Warszawy na samolocie RWD, ze znakami rejestracyjnymi: SP-AJU, do Lyonu przez Poznań — Lipsk — Frankfurt nad Menem i Strasburg. Po ośmiu godzinach i 40 minutach osiągnął cel, pokonując przestrzeń 1.500 km. Tu odbyła się waga i sprawdza nie stanu technicznego samolotu. Samolot powinien ważyć 450 kg, tymczasem wykazywał 12 kg nadwagi, a 16 kg więcej, niż ważył w Warszawie. Okazało się jednak, że to benzyna zadekowała się w jednym ze zbiorników skrzydłowych. Zakwalifikowano maszynę do rekor

właściwy zamiar, oświadcza- jąc, że leci na północ, bijąc rekord odległości.

7 maja 1933 roku, o godzinie 23.00 SP-AJU opuszcza St. Louis, kierując się na Dakar, a stamtąd nad Ocean Atlantyczny. RWD zawisła między granatowym niebem, a wzburanymi falami oceanu, aby przez siedemnaście godzin walczyć z żywiołem. Samotny pilot przebył trasę 3.100 km (od Dakaru do Natalu) w rekordowym czasie, jakkolwiek w ogóle był w powietrzu 20 godzin i 30 minut pokonując odcinek St. Louis — Maceio równy 3.640 kilometrom, to liczyło się tylko sam przelot Atlantyku. Na trasie silne

szczyli się niewielu pilotów na świecie; nadaje się je tylko do zdobywcom oceanów.

Nadmienić należy, że samolot Skarżyńskiego był najmniejszym samolotem, jaki kiedykolwiek przeleciał Atlantyk, co jeszcze bardziej podnosi odwagę pilota. RWD-5 bis był mniejszy od popularnych dziś „Kukuruzników” i rodzimej produkcji „Junaków”, które poza rozmiarami przewyższają RWD mocą silników. Wątpie jednak, czy jeszcze dziś — po trzydziestu latach — znalazłby się pilot, który odważyłby się na jednym z tych samolotów przelecieć samotnie Atlantyk.

Z Rio de Janeiro „Milczący Kondor” udał się w dwu-

WIESŁAW JAZDZYŃSKI

NIE MA POWROTU

STRESZCZENIE

Poznałszy już przeżył Justyna, jednego z głównych bohaterów powieści. Lecz Justyn posiada przyjaciela, którego nazywają Socjalistą, ponieważ kiedyś przeczytał dwie strony z Marks. Socjalista także opuścił miasto rodzinne lekając się aresztowania. Justyn trafił do opustoszałego dworu, on zaś rozpoczął w nim własną karierę jako nauczyciel tajnego gimnazjum. Uczy młodzież entoską. Czy zdoła zyskać jej zaufanie? Czy los pozwoli mu spokojnie pracować? Moglibyśmy tego rodzaju pytania mnożyć w nieskończoność — nasz drugi bohater może zginąć, lub zostać kaleką, może dotrwać szczęśliwie końca wojny, a może nie. Nie o to nam jednak chodzi. Jak się zachowywało pokolenie Socjalisty podczas okupacji, jak rozumiało swoją rolę, co w końcu przyszyło w sensie najistotniejszym dla każdego człowieka — na te pytania, być może, znajdziemy odpowiedź.

W kwadrans później leśni czy próbował przekonać Dęba, żeby dał sobie spokój ze spacerem na Brzózki, ale Dąb powtarzał swoje: „pokaż drogę i możesz jechać”. Leśniczy dosiadł roweru bez słowa.

Las urwał się nagle, mieli przed sobą pasmo bagien. — Stąd będzie jeszcze ze cztery, pięć kilometrów. Idźcie prosto, rowery radzę zostawić.

— Po tej wodzie mamy iść? Chcesz nas potopić? — Pod samą wodą leżą belki, taki most robili, zapadł się trochę ze starości, ale trzyma jeszcze, idźcie w kierunku na te słupki.

— Orzeł, sprawdźcie ten most!

Leśniczy zapalił papierosa.

— Nie wierzysz mi, co? Przyszłaś się! — Pieprzysz! Zawsze się sprawdza.

Orzeł siedł dosyć pewnie, w jednym tylko miejscu zapadł się do pasa, trafił pewnie na jakąś dziurę. Dąb patrzył na zegarek. Na przejście trzeba około dziesięciu minut, z powrotem można liczyć dwa razy tyle, jeśli ludzie będą obladowani. Dalej, jak zapewniali leśniczy, powinni iść już bez trudu, ale muszą odnaleźć ścieżkę. Dąb pożegnał leśniczego i ruszył pierwszy za Orłem, który już zniknął w gęstwinie. Dwóch ludzi zostawił przy rowerach. Leśniczy mówił prawdę, most trzymał

jeszcze, pod cienką warstwą wody widzieli dokładnie nadgniłe belki.

Dąb nastuchał się w dzieciństwie o tajemniczym moście. Zbudowali go podobno żołnierze Powstania Styczniowego, po klęsce most służył już tylko kłusownikom. Pewnego dnia, po wielkiej burzy, most znikł. Przed wojną żył w Zalesiu pewien stary chłop, który to widział. Most zapadł się z płaczem, skrzyknął podobno, próbował utrzymać się na powierzchni. Od tej chwili rozpoczął życie w legendzie. Niejednej zresztą. Inny stary chłop, który mieszkał w Olszynie twierdził, że po moście uciekali powstańcy z ogromnym skarbem, ale nie zdołali przejść przez bagna, na moście dopadli ich Kozacy. Most zapadł się pod ciężarem ludzi, koni i złota. Na przedwiośniu, kiedy pękają lody, a bagno oddycha głęboko, most unosi się do góry i opada, to umarli próbują się wydostać spod be-

lek. Orzeł odnalazł już zarośniętą ścieżkę. Posuwali się wolno długim węzłem, grzeźli w gęstej mazi, dopiero po godzinie trafili na twardy grunt. Dąb zatrzymał pluton.

poznał już to miejsce. Jeszcze kilka lat temu skrzyknął młodzież z czworaków i przekradali się tu, w leszczykowe gaje, rwali całymi koszmami tłuste orzeszki i sprzedawali je za beczon Żydom z Ostachowa. Wydał ostatnie rozkazy.

Za leszczyną będzie gęsty zagajnik, dalej brzozy. Jak zobaczycie brzozy natychmiast rozciągnąć się. Jeden kaem w środku, dwa na skrzydłach, oni są za brzozi. Idę pierwszy, Orzeł za mną. Dam znak. Pilnujcie Kukulka, żeby była cicha, nie przewracając drzew po drodze i nie strzelając. Nogi z dupy powyrwam, jak mi który strzeli bez rozkazu!

Przed końcem zagajnika pluton rozsypał się w tyralierę. Dąb przebiegł szybko niewielką łęką i zniknął między brzozi, za nim wyskoczył do przodu Orzeł. Pierwszy przyczał się za rozłożystym jałowcem, drugi przypadł do ziemi pod ścianą pawilonu myśliwskiego. Dąb miał przed sobą legowisko Żbika Wielkiego. Rozchylił ostrożnie gałęzie jałowca i obserwował teren. Dostrzegł sześciu ludzi siedzących przy ognisku, ale tylko jeden z nich mógłby

go zobaczyć, siedział dokładnie naprzeciw jałowca, reszta pokazywała Dębowi plecy.

— Zastrane nasze życie! Drzewa narab, świniaka pokraj, konie nakarm, teren zamieć, zmieniem sobie jednego Wilczka na drugiego!

To mówił ten z naprzeciwka. Dąb obejrzał się, Orzeł czekał na znak. Dąb wstał i podniósł rękę do góry. Zauważył, że człowiek siedzący naprzeciw jałowca błędnie. Dąb siedł spokojnie z automatem w rękach. Odwrócił plecami wciąż jeszcze nie wiedzieli co się dzieje. Jeden z nich mówił. — Przestań, Bolek, jeszcze plutonowy usłyszy!

Tamten, wstał, pozostali odwrócili głowy. Dąb działał szybko.

— Dawać ich do lepianki, sprawdźcie, czy nie mają tam broni. Gdzie jest plutonowy?

— Siedzi w srazu — jeden z sześciu wskazał na lepiankę, która stała na uboczu.

— Orzeł, przyprowadź pana plutonowego, za długo siedzi! Tętnie tu macie, sraz pewnie ze spuszczaną wodą?

— Nie — odpowiedział ten

sam — znam ciebie, ty jesteś Wachowiak z Olszyny. — Ja ciebie też znam, byłeś synem fornalą w Zalesiu, a teraz jesteś faszystą. Spierdalaj do lepianki takim dobrym.

Dąb nie mógł wykonać rozkazu Woli w całości. Zniszczył bazę Żbika Wielkiego znacząco tyle, co rozbrajać pawilon myśliwski i lepianki. W magazynie nie znaleźli zbyt wiele broni, erkaem w bardzo dobrym stanie, automat, taśmy do broni maszynowej, kilka skrzynek z granatami i amunicją. Ludzie, którym Żbik Wielki powierzył pieczę nad obozem mieli sześć karabinów i pistolet automatyczny. Dąb liczył bardzo na wyniki poszukiwań w pawilonie myśliwskim, gdzie mieszkało dowództwo, doznał jednak zawodu. Żbik Wielki dobrze ukrył papiery, na szczegółowe badanie obozu nie było czasu.

— Może powiadać to wojsko? — dopytywał się Kukulka.

— Nie trzeba, wpakowalbym ich do tego srazu, bo jest zamknięty, ale się nie zmieszczą. Zawalcie wejście drzewem, zanim się wykopią, zdajmy ośkończy.

— Powiemy im co?

— Koniecznie, dawajcie wreszcie tego plutonowego.

Orzeł przyprowadził plutonowego.

— Będziecie nam dupy tłuć?

— Nie będziemy. Rozwaliłmy was, ale jednego po drugim, osobno, w kupie byłoby wam raźniej.

— Za co, panie poruczniku, za co?

Dalszy ciąg
na str. 7

Masoni czyli wolnomularze

Za kilka dni w Parku Ludowym na Zdroju odbędzie się wielki kermasz księzek dla dzieci. Znajdą powiadzenie i sprawna organizacja podobnych imprez z lat ubiegłych zachęcamy naszych czytelników do odwiedzenia w dniu 26 maja zielonej dzielnicy Łodzi — Zdroju. Organizatorami kermaszu są Rada Narodowa, Biuro Wydawnicze „Ruch” (bodaj najpoważniejszy wydawca literatury dziecięcej), PUPIK „Ruch” i Telewizja.

Często narzeka się na niefachowość kadr instruktorskich kulturalno-oświatowych. Oto kwiatek z tej laski: w jednym z łódzkich zakładów Domów Kultury zatrudniono na charakterze instruktora... polonistę. Złożył on w końcu to plewuszy krok w kierunku przemianowania Domu Kultury na Izbę Porodową. Rzecz ciekawa, że nigdy nie zdarza się sytuacja odwrotna. Nikt nie zamierzał dotychczas w charakterze polonisty np. instruktorki baletu.

Rok 1963 będzie rokiem esz-kowitów „Zetropelizowania” Łodzi. Z ulic naszego miasta zniknie już całkowicie oświetlenie... gazowe. Kilka dziesiąt lat ostatnich gazowych antyków wymieni się na (zależnie od potrzeby) lampy elektryczne, jarzeniowe, rtecio-owe.

„My rzadzimy światem, a nami kobiety”. Powyższe słowa nie są „starym żartem” jak tego chce pewien łódzki dziennikarz, ale cytatem z wiersza biskupa warmińskiego — Ignacego Krasickiego. O biskupie tym i jego utworach naucza się już w szkole podstawowej.

Stanisławów i Stanisław mamy chyba w Łodzi nie mało, skoro 5 maja sprzedano kwiatów według szacunkowych danych na sumę miliona złotych.

Do 22 lipca jest jeszcze nieco czasu, ale pracownicy Muzeum Archeologicznego mają ręce pełne roboty. Właśnie w święto Manifestu Lipcowego nastąpi otwarcie wielkiej wystawy archeologicznej. Dla celów ekspozycji przebudować się na wet wnętrze gmachu przy pl. Wolności. Natomiast w związku z Dniami Oświaty, Książki i Prasy archeolodzy zorganizowali w podziemiach Muzeum na rogu ul. Nowickiej ciekawą wystawę polskich i obcych publikacji z zakresu archeologii. Polecamy ją naszym czytelnikom.

J. W.

Mamy rok 1963. Ale dla masonów czyli wolnomularzy jest to rok 5963, gdyż wedle ich rachuby początek naszej ery przypada na r. 4000 przed narodzeniem Chrystusa. O masonach wiedzieliśmy niewiele, albowiem łoża masonów otoczone były wielką tajemnicą i braci zobowiązano do jej ścisłego przestrzegania. Co prawda, nie wszędzie w jednakowym stopniu tajemnica ta zdołała się utrzymać. Na przykład w Niemczech zachodnich publikuje się ostatnio wiele materiału na ten temat, a nawet przeprowadza wywiady prasowe z mistrzami łoż masonów. Wszelkie zjazdy wolnomularzy odbywają się wedle ściśle obmyślanego i przestrzegane ceremoniału. Zebrani trzymają się za ręce, na organach intonuje się pieśń Mozarta „Reicht die Hand zum Bunde” (Podaj dłoń do przynierza), w sali; która uchodzi za świątynię, palą się świece. Zanim jednak zaczyna się jakieś wiek mowy i uroczystości, brat, pełniący obowiązki nadzorca, musi zameldować mistrzowi ceremonii, że wśród zgromadzonych nie ma żadnego profana. Dopiero wtedy gra muzyka, zapalają się światła, a mistrz trzema uderzeniami młotka pozdrawia braci, którzy tworzą zamknięty łańcuch braterstwa. W czasie pracy (narady) palą się trzy świece, symbolizujące mądrość, piękno i siłę, a obecni bracia, ubrani w czarno w białych rękawiczkach i przyodziani w fartuchy, odprawiają swoje obowiązki.

W mowie wolnomularzy każdy brat jest „surowym kamieniem” (może lepiej byłoby powiedzieć: głazem), który musi się „wygładzić” (ocisnąć). W ciągu stu lat przybyło systemowi symbo-

łów wiele nowych wartości. Jednakże do najważniejszych z nich należą po dawnemu „wielkie światła”, spoczywające na ołtarzach. Pierwsze to Biblia, zwana „światłem ponad nami”, która w istocie nie oznacza objawionego słowa bożego, lecz wiarę w obyczajny porządek świata. Drugie, katomierz, jest to „światło w nas”, który oznacza ideę prawa i obowiązku. Trzecie, cyrkiel, czyli „światło wokół nas”, symbolizujący braterstwo i służbę na rzecz ludzkości.

Wolnomularstwo prezentuje typ pracy zespołowej. W starożytności wolnomularz czyli mason winien posuwać się wraz z braćmi coraz wyżej „ku światłu”, w języku zwykłym oznacza to po prostu, że powinien stać się lepszym człowiekiem. Środkiem prowadzącym do tego celu jest rodzaj moralnego treningu, który — wedle wyobraźni z wieku ośmiennastego — warunkuje poprawę świata i poprawę człowieka.

W oświeceniu przykazania i obowiązki masonów mają wieloletnią tradycję. Wyznanie wiary wszystkich masonów pochodzi z r. 1723, a sformułował je angielski teolog Anderson. Oto jedna z podstawowych tez Andersona: „Chciał w dawnych czasach masoni zobowiązani byli wyznawać religię panu-

jącą w ich krajach, obecnie uważamy za celowe i wskazane zobowiązać ich jedynie do takiej religii, na którą godzą się wszyscy, mianowicie, aby być dobrym i rzetelnym człowiekiem”.

Dążenie dawnych wolnomularzy do tego, by sztukę swoją ukryć przed oczami profanów („nawet najbystrzejszy z nich nie powinien wiedzieć nie z tych rzeczy, których nie można mu powierzyć” — pisał wspomniany Anderson), to jednak nie udało się tego w pełni osiągnąć. Już bowiem w r. 1730 a więc zaledwie w 13 lat po założeniu Wielkiej Łoży, pewien Anglik nazwiskiem Prichard napisał książkę „Masonry Dissected” (Analiza wolnomularstwa), w której zdekodował cały rytuał masonów.

Ruch masonów, zapoczątkowany w Anglii, szybko rozprzestrzenił się po świecie. Przyczynił się on swoją działalnością do upadku absolutyzmu i wzniesienia idei humanistycznych. Propagowane przez masonów myśli wiążą się niewątpliwie z początkami Rewolucji Francuskiej. W Niemczech pierwsza łoża masonów powstała 6 grudnia 1737 roku w Hamburgu. Od czasu Fryderyka Wielkiego, który przystąpił do masonerii, rozpoczyna się okres, kiedy członkami łoż

stawały się wybitne osobistości, żeby wspomnieć Lessinga i Goethego, Fichtego i Humboldta, Herdera i Schopenhauera.

Gdy w r. 1933 Hitler doszedł do władzy, wolnomularstwo niemieckie znalazło się pod ostrzałem propagandy Goebbelsa. Obok Żydów i komunistów, wolnomularze uznani zostali za trzecią „ponadnarodową potęgę”, która zagraża Trzeciej Rzeszy. W r. 1935 nie było już żadnej łoży w Niemczech, wszystkie je zlikwidowano, a majątek, wynoszący 200 milionów marek, skonfiskowano na rzecz hitlerowskiego państwa. Warto tu dodać, że masoni niemieccy podlegali w rozwoju historycznym tendencjom nacjonalistycznym, co początkowo wyrażało się w niewinnym z pozoru formułach i hasłach („Wolnomularz szanuje ojczyznę każdego człowieka, ale swoją kocha nade wszystko”), z czasem jednak doprowadziło to do tego, że przeciwko hitleryzmowi nie zgłoszono właściwie ani jednego protestu. Mimo to, jak już nadmieniliśmy, hitleryzm nie całkiem się z nimi, lecz poddał łoża całkowitej likwidacji.

Masoni zwalczani byli również przez kościół. Znany jest werdykt papieża Klemensa XII, ogłoszony 23 kwietnia 1738 roku, w którym czytamy między innymi: „Przekleństwo towarzystwa czyli

potajemnych zebrań, zwanych wolnomularstwem, pod karą natychmiastowej exkomunikacji (wygnania), od którego odwołanie — wyjąwszy przypadek śmierci — przysługuje jedynie najwyższemu zwierzchnictwu kościelnemu”. Z drugiej strony należy zauważyć, że w niektórych państwach kościół nie atakuje masonów. Dzieje się tak np. w Anglii, gdzie królowie i politycy byli zazwyczaj członkami łoż masonów, żeby wymienić Edwarda VII, księcia Filipa i Winstona Churchilla. Tradycje masonów są bardzo silne również w Stanach Zjednoczonych. Ba! nawet w krajach afrykańskich, jak np. w Liberii, nie kto inny, lecz sam prezydent Taubman przywdziewa fartuch masonowski.

We Francji, gdzie za czasów Woltera doszło do ostrego antagonizmu pomiędzy wolnomularstwem a kościołem, z czasem nastąpił cichy pakt nieagresji, podobnie jak w Italii, gdzie od czasów Garibaldiego wiele się pod tym względem zmieniło. Natomiast w Hiszpanii wolnomularze obwołani zostali jako wrogowie państwa i to zarówno ze strony kościoła jak i rządu.

Obecnie łoża masonów istnieją na całym świecie, a ich kontakty wzajemne stają się coraz ściślej.

Wg tyg. „Spiegel”
oprac. Jot



Wybitni masoni: Voltaire, Waszyngton, Garibaldi, Dunant, Edward VII, Taubman, Churchill

Dalszy ciąg ze str. 6

— Za lekceważenie obowiązków. Gdyby wpadł tu nieprzyjaciół mógłby was rznąć jak barany. Powiesz swojemu dowódcy, że była tu u was inspekcja, wysłana przez porucznika Wołgę z Armii Ludowej. Stwierdził, że najłatwiej nie z tej ziemi, zapomnieliście wystawić warty, śmieciecie na terenie obozu, palicie ognisko wbrew regulaminowi obok magazynu z bronią i amunicją. Dlatego zabieramy broń i amunicję, jeszcze wysadzicie obóz w powietrze i co wtedy? Powiedz swojemu dowódcy, że jeżeli wy, sukinyńcy, podnieście jeszcze raz rękę na Polaka, to ja tu znowu przyjdę, sami nie będziecie wiedzieli z której strony, ale na dupobiciu się nie skończy. Już cię tu nie ma!

Mimo obciążenia wrócili szybko do opuszczonej gajówki. Czekali tam leśniczy. — Nie pójdziesz, Ignac, do Olszyny, w ogóle nie wiem, co ty możesz zrobić. Wszędzie pełno żandarmów, las obstawiony, tamci wrócili z nimi. Będą pewnie czekać teren.

— Co radzisz?
— Jedź z ludźmi na moją leśnicówkę, trafisz przecież. Melnujcie na razie w stodole, tam są jeszcze ci trzej profesorowie. Rozejrzyj się trochę i przyjdź. Oni są tępe zupaki, nie domyślą się, że jesteś tak blisko, bo powinnieli być daleko.

Dąb zebrał ludzi i odjechał na miejsce przeznaczenia.

Kimże ty w końcu jesteś? Jak to kim, co za głupie

pytanie! Jesteś Jerzy Swito niak, nazywają cię Socjalistą, ponieważ chwaliłeś się jeszcze w latach szkolnych, że czytałeś Marksa. Czytałeś, to prawda, ale nie rozumiałeś. Rozumiałeś, czy nie, zostaleś Socjalistą i taki teraz nosisz pseudonim, nawet tu, w Kosieradach. Skąd się wzięło w Kosieradach? Nie pamiętasz już? Uciekłeś z rodzinnego miasta przed arestacją Niem. Jechał z tobą jakiś czas twój przyjaciel Justyn. Rozstaliście się i nie masz pojęcia co dzieje się z Justynem. Co tu robisz? Dużo robisz, jesteś nauczycielem w tajnym gimnazjum, uczysz ponad dwie setki młodzieży, samych licealistów będzie z sześćdziesięciu. Czy ich znasz? No, nie bardzo, to jest młodzież chłopska, a ty człowiek miejski, niewiele masz pojęcie o ruchu chłopskim, chociaż należysz do becha, ale uczysz dobrze, zgodnie z programem. Najlepiej znasz Malwę, prawdę mówiąc, to jest twoja dziewczyna, kochacie się regularnie, dwa razy w tygodniu. Chodźcie do lasu, coś zresztą o tym mówić, kiedy to przecież tajemnica. Nie lubisz natomiast Wilka, który jest komunistą. Ale innych chłopów z aelu bardzo lubisz. Niewiele ich, tylko czterech. Masz natomiast u siebie dwa plutony akowskie ze zgrupowania majora Skrzetuskiego i dwa plutony bechowskie porucznika Sosny, ale o wojackie pojęcia nie masz, chociaż cię szkolili w strzelaniu. Chłopi cię lubią, a już najwięcej twoi gospodarze: Drzymek, nazwany we wsi Filozofem i jego żona. Polowa Kosierad to Drzymkowie i polowa twoich uczniów to Drzymkowie. Twoim przełożonym jest profesor Lemiesz,

który układa plan pracy i czuwa nad całością. Skończyłeś właśnie lekcję i idziesz dalej uczyć.

Socjalista szedł drogą z Kolonii pod Włsniami ku środkowi wsi. Następna lekcja w budynku gminy, i jeszcze jedna u Drzymka Samotnika za dolną. Zasympał różowy dzień. „Po chmurnych dzisiejszych rozterkach, dzień, zachodząc, w różowości tonie, jak Moment Mu sical Schuberta, kiedy się uśmiecha pod koniec”. Kto to napisał? Wokoło rozlegała się niezmiernie, swojska cisza. Słodko jak w domu i tęskno jak na obczyźnie. A to kto? Nie mógł sobie przypomnieć. Udzielał lekcji — myślał — i mnie udzielał, ale właściwie na czym to polegało? Jeżeli żyje i rozwijam się, to dlatego, że nieustannie wybieram. Człowiek decyduje się nieustannie, to będzie robił, a nie tamto, tego uznaje za przyjaciela, a nie tamtego, tu pójdzie, a nie tam, w to uwierzy, w tamto nie...

W pierwszej chwili nie uświadomił sobie niebezpieczeństwa. Minął go żandarm pędzący na koniu. Socjalista dopędził go w momencie, kiedy skreślał na podwórku Filozofa. Należało uczynić wszystko, żeby tam, nie wjechał. Jeżeli wjechał, któryś z chłopów gotów nie wytrzymać i strzelił. W stodole siedzi pewnie cała pierwsza licealna. Co wtedy jeśli któryś strzeli? Co się stanie wtedy? Cała Kolonia pod Włsniami pójdzie z dymem, nie dziś to jutro.

Chwycił konia za uzdę i wyprowadził na drogę. Pija n żandarm zdmiał się trochę, ale nie protestował. Ko tywał się łagodnie na siodeł i podśpiewywał. Socjalista zaproponował mu dobrą ko-

lację i dodał, że miło mu spotkać na zapadłej wsi kulturalnego człowieka i prawdziwego obrońcę cywilizacji europejskiej. Śpiew żandarma zamienił się w konkretną mowę. Żandarm chciał się upewnić przed zapowiedzianą kolacją, co właściwie może mu zaproponować Socjalista. Pytał więc o „polski wódka, masło i kiełbasa”. Socjalista proponował znacznie więcej — „polski szpek, polski kura w rosół i dużo polski spirytus na drogę do Ostachowa”.

Pęsuwali się wolno ku dworowi. Żandarm, wyraźnie zadowolony z towarzysztwa, zsunął się z konia i rozrzucony perspektywą kolacji, spoglądał z zadowoleniem na różowe smugi po zachodniej stronie nieba.

— Die ganze Welt ist mein! — zakomunikował Socjalista.

Rozłożył szeroko ręce, jak by zamierzał przycisnąć do piersi cały świat i okrzęcił się dokoła. Socjalista struchlał. Drogę przebiegała pędem klasa licealna. Pierwszy sadził wielkimi krokami Kosiarz. Żandarm otrząsnął. Fakty skojarzył po swojemu. Jeżeli ten młody człowiek zawrócił go proponując kolację, musiał mieć w tym jakiś cel. Jaki? Widać jak na dłoni, tam się zebrał jacyś ludzie, którzy szczęśliwie uciekli. Zresztą to się zaraz pokaże, czy szczęśliwie. Wyszarpnął pistolet z kabury, w sekundę później Socjalista poczuł straszliwy ból koło ucha. Żandarm kazał mu biec przed koniem, aż do chałupy Drzymka Bogatki. Wepchnął Socjalistę do wnętrza mocnym kopniakiem. W pokoju śpiewali żandarmi ostatni szlagier niemiecki „Vor

einer Laterne”. Puste butelki, góra skorup po jajach na twardo starannie ułożone pośrodku stołu, resztki kiełbasy, ogórki kiszzone, wskazywały, że libacja trwa już dość długo. Po krótkiej rozmowie, żandarm, który przyprowadził Socjalistę, wyszedł na chwilę. Wrócił ze sztachtetą w ręku. Rozpoczęło się badanie. Wysocki, rudy sierżant pytał po polsku.

— Nazwiska i adresy tych ludzi!

— Jakich ludzi? — Socjalista próbował zyskać na czasie, był jednak przekonany, że to koniec. Miał przed sobą słynnego Ryżego Julka, fabrykanta aniołków, jak mówiono o nim.

Jakich? Takich samych bandytów, jak ty. Tylko bandyci uciekają na widok żołnierza niemieckiego.

— Jestem tłumaczem gminnym, panie sierżancie. Zbieram czasem ludzi, żeby im wytłumaczyć dokładnie zarządzenia.

— Dokumenty!

Socjalista podał swoją kartę rozpoznawczą i zaświadczenie podpisane przez wójta, z którego wynikało niezbicie, że jest tłumaczem gminnym.

— Tłumacz też może być bandyta — zawyrokował Ryż Julk — mów skurwysynu, dlaczego ci młodzi ludzie uciekali, pókim dobry!

— To nie byli młodzi ludzie, tylko chłopci — skłamał Socjalista.

Ryż Julk przetłumaczył te słowa na język niemiecki. Żandarm, uzbrojony w sztachtetę zatrząsł się ze złości. Żołnierz niemiecki nigdy nie kłamie. Dziesięć plag za bezcelność! Socjalistę raz

ciągnięto na ławie. Żandarm wybrał sobie prawą nogę i bił według schematu: uderzenie — kawałek „polski kiełbasa”, uderzenie — „kieł liszek polski wódka”.

— Będziesz mówił skurwysynu? — dopytywał się Ryż Julk.



LUDZIE i automaty

Pisarze powieści fantastycznych wysuwają w swych książkach hipotezę, że niektóre planety wszechświata są zamieszkałe przez automaty. Niestety, czy to prawda tego nie wiem, a sprawa tego na razie niepodobna, bo do tej pory nie odwiedziły one Ziemi. W każdym razie mogę odpowiedzieć na pytanie, dlaczego do tej pory tego nie zrobili?

Otóż od lat trwa antagonizm — walka między ludźmi a automatami, z której niestety, automat wychodzi poszkodowany. Zresztą nie tylko w Polsce i nie tylko w Łodzi. Podobne wypadki zdarzały się w innych krajach — ludzie psuli, oszukiwali automaty sprzedające czekoladę i papierosy, automatyczne wagi. Do czasu. Bowiem po jakimś czasie gdy im człowiek robił krzywdę zaczęły płakać — głosem syreny alarmowej. U nas jest odwrotnie. Płacze właściciel automatu — Dyrekcja Poczty i Telegrafów — wraz z tym kto w pilnej sprawie chce telefonować.

Z około 170 automatów ulicznych — prawie połowa jest uszkodzonych. Ktoś zawsze na pamięć swojej rozmowy telefonicznej zabiera słuchawkę lub odkręca cały automat — szczęście że zostawia kabinę.

— To się nie zgadza z prawdą — rzekł kolega, który powyższe czytał przez moje ramie. Ważę się co tydzień na automatycznej wadze przy pl. Wolności i od lat waga funkcjonuje zupełnie dobrze.

Poszedłem i sprawdziłem. Rzeczywiście. Ale kolega przeoczył drobny z pozoru fakt, że obok wagi w deszcz czy mróz siedzi na krześle człowiek przyjaciel i druh automatu, który nie pozwala mu zrobić krzywdy.

Teraz zrozumiesz dlaczego do nas nie przylatują automaty z innych planet. Po prostu nie chcą się zdawać na łaskę tylko jednego ujawniającego przyjaciele automatu, pilnującego wagi automatycznej przy pl. Wolności.

ODGŁOSY tygodnia

CZY MOŻNA SPRAWĘ ODŁOŻYĆ DO AKTU?

Pisałem niedawno w notce pt. „Słusarz zawinił” o stosunku do pracownika pragnącego się uczyć. Rzecz miała miejsce w Szpitalu dla nerwowo chorych „Kochanówka”. Doczekałem się odpowiedzi podpisanej przez dyrektora Wierzbickiego i opublikowanej w poprzednim numerze „Odgłosów”.

Nie nawracałbym już do tej sprawy, gdyby nie fakt, że odpowiedź dyr. Wierzbickiego jest przynajmniej dla mnie — niewystarczająca. Martwy paragraf, nieaktualny i niecyfrowy przepis, nie stosowany już praktycznie, przesłonił dyrekcyję żywego człowieka, robotnika pragnącego się kształcić.

Nie wiem i nie potrafię zrozumieć, jakie były przyczyny niewyrażenia zgody na studia zaoczne pracownika warsztatu mechanicznego Lecha R. Nie przekonają mnie zakurzone przepisy sprzed ośmiu lat, którymi próbuje się argumentować.

Wydałem mi się, że nikt by nie odcisnął dyrekcyi instytucji do odpowiedzialności, gdyby zezwoliła studiować swojemu pracownikowi (wbrew niecyfrowym przepisom). A przeciwnie — wspomina się — kiedy dyrekcja zajęła takie stanowisko, jak to czytamy w odpowiedzi dyr. Wierzbickiego.

Wilm.

UNIEJÓW dla MŁODZIEŻY

Województwo łódzkie nie jest bogate w zabytki. Do jednych z najstarszych i najcenniejszych obiektów historycznych należy zamek w Uniejowie. Wybudowany przez Kazimierza Wielkiego w roku 1345 kolejno przebudowywany w XV i XVI wieku, jest prawdziwą perłą architektury średniowiecznej i renesansowej. W XVII wieku zamek uniejowski stał się siedzibą letnią prymasów polskich; między innymi przebywali w nim prymasi Lubieński i Wzicki.

których herby zdobną do dziś portal zamku. Zniszczony przez Szwedów stał prawie bezpański aż do czasów powstania listopadowego. Wtedy to rząd carski w dowód uznania za „zasługi” położone w tłumieniu powstania ofiarował zamek w Uniejowie królowi gen. Tollew.

W naszych współczesnych czasach zamek uniejowski przechodził koleje losu mniej dramatyczne, chociaż znowu wcale nie tak wesołe. Początkowo służył jako magazyn soli potasowej, co — jak mawiało się — było to sobie z łatwością wyobrazić — znakomicie wpłynęło na jego „konserwację”. Następnie zamek był spichrzem zbożowym, a wreszcie, gdy łaskawy los uśmiechnął się do niego i włączono Uniejów do obszaru województwa łódzkiego, zajął się nim wtedy wojewódzki konserwator zabytków, mgr Z. Ciekiński. Rozpoczął więc prace nad orestaurowaniem zamku i już w tej chwili można mówić o ich szczęśliwym zakończeniu. Co prawda, brakuje jeszcze trochę funduszy, a Wojewódzki Komitet SFOS odmówił potrzebnej „zapomogi”, jednak poradzono sobie inaczej. Rok temu bowiem, Wojewódzka Rada Narodowa oddała zamek uniejowski Kom. Wojew. ZMS w Łodzi. No, a jak wiadomo, młodzież jest uparta i powędruje w swojej sprawie aż do piekła. Poza tym — młodzież ma wszędzie przyjaciół — oddanych i życzliwych. Węć pomimo wszystkich finansowych trudności, zamek uniejowski zostanie do końca orestaurowany, i już w przyszłym roku będzie służył jako ośrodek wypoczynkowy - szkoleniowy młodzieży zetemesowskiej.

mik prozy innego poety, Jerzego Waleńcyka. Niestety, „Sześcienną ciszę zmierzchu”, krytyka przyjęła w zdumiewająco zgodnej tonacji („Współczesność”, „Życie literackie”).

Gwoli ścisłości, chciałbym zaakcentować, że (chociażby pierwsze chronologicznie) opinie p. p. Tadeusza Papiera, Henryka Vogla, Zbigniewa Zabińskiego, były, co można bez trudu zauważyć — zróżnicowane.

Z wyrazami szacunku
JERZY WALEŃCZYK

Na szczęście, nie musiał powracać do domu pieszko. Wsiadł na ośia i pojechał.

Po drodze przybył nad potok. Osiół stanął i pił wodę. Filozof już trochę wytrzeźwiał, zjadł więc z ośia i obserwował go. Gdy osiół przestał pić, mądrzec zdjął czapkę, uklonił się oślowi i powiedział:

— Witaj, przyjacielu. Pił, pił... Ale osiół już nie chciał pić. Filozof uklonił mu się jeszcze niżej, poglaskał go i proponował:

Przećż możesz się jeszcze napić! Za nasze zdrowie! — Ale osiół stanowczo już nie chciał pić. Wówczas filozof powiedział: — Osiół jest mądrzejszy niż ja, filozof. Wypije tylko tyle, ile mu potrzeba. Gdyby to człowiek brał z niego zawsze przykład!

Przełożył FR. SWARZYKA

„Pijanego wszystkie psy kłają”

(Przysłowie asyryjskie)

Kto do dna pije, bez rozumu żyje

(Przysłowie rosyjskie)

Dzieci jadą na wakacje

Nie tylko dorośli myślą o wakacjach. Na obozy i kolonie letnie wyjeżdżają w pierwszych dniach lipca cała masa dzieci i młodzieży szkolnej.

Przygotowania do akcji letniej były w tym roku szczególnie utrudnione. Na skutek przedłużenia nauki w szkołach i związanej z tym dyscypliny pracy uczniów i nauczycieli musiano zrezygnować z trzyturnusowych kolonii i w związku z tym trzeba było mocno łamać głowy, aby większą ilość dzieci pomieścić na mniejszej ilości miejsc.

Mimo tych trudności liczba dzieci, które wyjadą w tym roku na wakacje poważnie wzrosła. Poradzono sobie zwiększając ilość obozów różnego typu i otwierając nowe placówki kolonijne.

Otrzymałmy interesujące dane z Inspektoratu Oświaty Łódź-Sródmieście. Wynika z nich, że tegoroczna akcja letnią prowadzoną przez ten inspektorat objętych zostanie 7.750 dzieci i młodzieży (w zeszłym roku o 1.300 mniej), a budżet tej akcji zamyka się sumą 5.725 tys. złotych. Poza atrakcyjnymi miejscowościami naszego województwa młodzież tradycyjnie wyjeżdża nad morze (m. in. Mielno) i w góry (Poronin). Bardzo interesująca forma wypoczynku letniego, którą od kilku lat prowadzi Inspektorat Śródm., są obozy językowe UNESCO. W br. został on umiejscowiony w Wleńcu. Wezmą w nim udział chłopcy z Polski i ich koledzy ze Związku Radzieckiego.

Pracuje się również nad akcją stosunkowo nową p. n. „Wakacje dzieci w mieście”. W ramach tej akcji zorganizowane będą zabawy na podwórkach, wycieczki poza miasto, biwaki, stanice itp.

Zyczymy naszej młodzieży zdrowego i wesołego wypoczynku oraz wspaniałej, słonecznej pogody.

Redaguje Zespół * Wydawca: „Wydawnictwo Prasowe „Prasa” Łódź * Adres redakcji: Łódź, ul. Piotrkowska 56. Tel. 244-79 * Warunki prenumeraty: miesięcznie 2 zł., kwartalnie 6 zł. * Redakcja nie zamawiających reprintsów nie zwraca * Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPIK „Ruch” — z zaznaczeniem na „Odgłosy” * Druk: RSW „Prasa” — Łódź, Zwirki 17 * Zam. 1598. V. 63. K-6

SYLWETKI ŁÓDZKICH AKTORÓW



JANUSZ

MAZANEK

JANUSZ MAZANEK — uczeń Ludwika Solskiego — grał z Osterwą, Adwentowiczem, Jaraczem, Junoszą-Stępowskim i wielu innymi wybitnymi aktorami. Po sukcesach artystycznych na scenach Krakowa, Wilna, Wrocławia, Poznania, w roku 1958 rozpoczyna pracę w Teatrze im. St. Jaracza w Łodzi.

Pamiętamy go jako księcia Bolkońskiego w „Wojnie i pokoju” Tolstoj, Burmistrza — w „Termitierze” Zb. Nienackiego, Dogsborough — w „Arturo Ui”, Marco — w „Naszych kochanych działkach”, które również reżyserował.

Pasją i troską Janusza Mazanka jest widowiska młodociane i dziecięce. Dokonał on scenicznej adaptacji powieści „W pustyni i puszczach” oraz baśni „O krasnoludkach i sierotce Marysi” Konopnickiej.

Od nadchodzącego sezonu teatralnego oglądać go będziemy na scenie Teatru Powszechnego.

Tekst i zdjęcie GERARD PUCIATO



HENRYK SZCZYGLIŃSKI

Z notatnika malarza

Życie o Sztukę w Łodzi? Zamiast odpowiedzi rodzajowy obrazek:

Siedziałem przy rannej kawie w pewnej cukierni (znanej z tego, że ma swój stółik adwokacki), czytając kartkę pocztową przyslaną mi ze Szwecji przez kolega Szweda. Karta była naturalnie ozdoba, choć nie było na niej ani dworca kolejowego (mająta iniejsze od naszego), ani narożnika ulic, a nawet wnętrza restauracji, zdołała ją reprodukcja obrazu... Teodora Ziomka (warszawianina).

Chciałem właśnie odpisać przyjacielowi i podziękować za entuzjastyczne słowa uznania dla naszej sztuki, gdy uwagę moją zwróciły dźwięki mowy pobratymczej, dochodzące mnie od sąsiedniego stołka: „Kupcie se panie diwezyne, tak pastelem malowane! Cery nie dostanete ani tu w mieście Łodzi, ani nawet w Warszawie”. Ujrzałem jednego z proletariatu malarstwa, wędrownego Czechę, sprzedającego po domach i kawiarniach obrazki. Argument przytoczony o cerze „namalowanej pastelem” przez Czechę przekonał nabywcę.

Dzielo sztuki zostało nabyte i w wieczór wizyjny zdobyło już ściany, zawieszono szeregami arcydzieł tym podobnych Weneccich.

Eviva l'arte. „Życie Łódzkie” dodatek do Gazety Łódzkiej 1914 r. pod kierunkiem literackim Andrzeja Nullusa.

Zycie towarzyskie w Łodzi

W Łodzi wszystko rozstrzyga rubel. Rubel tworzy kategorię społeczne, rubel wywyższa niezasłużenie ludzi, rubel zasłania i usuwa na plan dalszy prawdziwie zasłużone jednostki, rubel zastępuje wychowanie, wykształcenie i inteligencję.

Nędzarz korzy się przed posiadającym cośkolwiek, ten pada płackiem przed człowiekiem zamożnym, który bije poklony i gnie posłuszenie kark przed bogaczem. Różnice majątkowe stanowią, w łódzkiej żłtciu towarzyskim, przeszkodę nie do przezwyciężenia. Takiej hierarchii, nie tak powiem, rublowej, nie ma chyba w żadnym innym mieście.

„Życie Łódzkie” dodatek do Gazety Łódzkiej 1914 r. pod kierownictwem literackim Andrzeja Nullusa.